

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Janusz Oseka

ŚMIERĆ W ŻLEBIE KIRKORA



Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Janusz Oseka

ŚMIERĆ W ŻLEBIE KIRKORA



Garbata linia Giewontu rysowała się wyraźnie na bezchmurnym niebie.

Nagle na tło błękitu wyskoczyła sylwetka człowieka, zamachała w powietrzu bezwładnymi ramionami i runęła w dół, z głośnym kłaśnięciem uderzając w dno skalnego wąwozu.

— Teraz przeleciała! — zawołał ktoś w górze.

Porucznik Jan Dudziak z Komendy Miejskiej w Zakopanem poprawił lewy but tkwiący w kamiennym wyżłobieniu i wcisnął obok prawą stopę. Stok był bardzo pochyły i mimo ubezpieczającej liny, którą związano oficera z ratownikiem GOPR-u, nie mógł on uznać tej formy urzędowania za zbyt wygodną. Porucznik nadzorował czynności śledcze: w Żlebie Kirkora przeprowadzano eksperyment z manekinem, zrzucającym z występu skalnego.

Był upał sierpniowy, samo południe. Porucznik Dudziak, sierżant Stanisław Książek, fotograf milicyjny i ratownicy GOPR-u, którzy pomagali przy przeprowadzaniu eksperymentu, musieli często ocierać pot z czoła, żeby móc dokładnie obserwować złowieszczy lot manekina w przepaść, robić zdjęcia d notatki. W

kalendharzu widniała data 5 sierpnia.

Przedwczoraj, to jest 3 sierpnia, z pensjonatu wczasowego „Krokus” zaginęła dwudziestodwuletnia Anna Zemanek, przybyła z Krakowa 1-go tegoż miesiąca.

Zamieszkali w „Krokusie” wczasowicze wybrali się 3 sierpnia, zaraz po śniadaniu, na wycieczkę bryczkami na Cyrhlę. Tam opalali się, odbyli spacer do Toporowych Stawów, zjedli obiad i na kolację wrócili do pensjonatu. Anna Zemanek nie wzięła udziału we wspólnej wycieczce. Po śniadaniu wyruszyła gdzieś samotnie, nie mówiąc nikomu dokąd. Kiedy nie wróciła tego dnia na kolację oraz następnego

— na śniadanie, kierowniczką pensjonatu „Krokus”, Halina Gałaj, zawiadomiła milicję zakopiańską i Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe.

Ale zaginionej nie zdołali odnaleźć ani ratownicy, ani funkcjonariusze milicji.

Czwartego sierpnia przed południem ze szczytu Giewontu wypatrzył przypadkowo przez lornetkę jej zwłoki przygodny turysta, który zawiadomił GOPR na Hali Kondratowej. Natychmiast zorganizowano wyprawę i już o godzinie trzeciej ratownicy GOPR-u w Żlebie Kirkora znaleźli ciało młodej dziewczyny z widocznymi obrażeniami zewnętrznymi, doznanymi podczas upadku na skały.

Ratownik Smreczyński zlustrował, jak to było w zwyczaju, dokładnie okolicę, gdzie leżały zwłoki i pewna okoliczność wydała mu się zastanawiająca.

Lekkomyślni turyści niejedną raz próbowali zejść północną stroną Giewontu przez Żleb Kirkora na dół do Doliny Strążyskiej i niejedną taką wyprawą skończyła się śmiercią. Stok w tym miejscu, pozornie względnie łatwy do przej-

ścia, był w rzeczywistości drogą niezwykle trudną dla nieprzygotowanego i niedoświadczonego turysty.

Można byłoby zatem przypuszczać, że nastąpił po prostu jeszcze jeden tragiczny epilog nieprzemyślanej, samotnej wyprawy górskiej, gdyby nie fakt, że zwłoki znaleziono około pięćdziesięciu metrów od zagłębienia Żlebu, na linii w ogóle niemożliwej do pieszego sforsowania bez od

powiednich umiejętności i wyposażenia. Mierząc w górę od punktu znalezienia zwłok, najbliższym miejscem dostępnym dla nietatennika był występ skalny, odchodzący od ścieżki, wiodącej ze szczytu. Pod występem, mniej więcej w odległość-

ci piętnastu metrów, umiejscowiona była kamienna półka, zaś pod nią stroma przepaść, głęboka na dziesiątki metrów.

Zwłoki znaleziono w przepaści. Dziewczyna mogłaby, wskutek nieostrożnego stąpienia, spaść tutaj z owej kamiennej półki, wykluczone było jednak, aby się na tę półkę dostała, spadając natomiast z położonego wyżej występu skalnego, upaść powinna na półkę, nie do przepaści.

— W jednym tylko, a raczej w dwóch wypadkach — orzekł, dzieląc się z milicją swymi przypuszczeniami, ratownik Smreczyński — piało zabitej znaleźć się powinno w miejscu, gdzie leżało: albo gdyby, stojąc na skalnym występie, próbowała wykonać daleki skok z odbicia, albo — gdyby została przez kogoś silnie popchnięta...

Eksperyment trwał. Manekin wywindowano na linie do góry.

— Jeszcze raz — porucznik wydał polecenie przez radiotelefon. — Zsunąć lekko!

Ciemna sylwetka znów zamajaczyła w powietrzu. Tym razem upadła nisko, na kamienną półkę.

Milicyjny fotograf pstryknął migawką.

Sierżant Książek przyczepił linkę do manekina. Widać było wyraźnie, że przy tej ekspozycji stoku nie czuł się dobrze, choć starał się nadrabiać miną. Ten stary zakopiańczyk przyzwyczajony był do wysokości raczej poniżej Kuźnic i nie wykazywał ani tego zainteresowania górami, ani kondycji, którą mógł pochwalić się porucznik, wyróżniający się w slalomie zawodnik.

— Można wciągać!

Próby powtarzano wielokrotnie. Manekin, zsunięty ze skały, zawsze spadał na półkę, zepchnięty — leciał do przepaści.

— Widzi porucznik, że miałem rację — zapewniał Smreczyński.

Ekipa likwidowała się. Fotograf chował do plecaka aparaty, składano liny.

Wkrótce ruszono w kierunku przełęczy.

Od strony Strażyskiej błysnęły gorące promienie słońca.

— Co wy na to, sierżancie? — zagadnął porucznik Dudziak, zrównawszy krok z lekko zasapanym Książkiem.

— Dziwne, dziwne... — powtórzył sierżant. — Na samobójstwo to nie wygląda.

— Myśli pan o tym skoku w przepaść?

— Tak. Smreczyński miał rację, bez odbicia obsunęłaby się na półkę... Kto po-pełnia samobójstwo skacząc jak z trampoliny?

— Gdyby nie ta chustka, zaczepiona o skałę nad półką, można by jeszcze przypuszczać, że dziewczyna dostała się na nią jakoś z boku, chociaż to jest mało prawdopodobne — zastanawiał się głośno porucznik.

— Powiedzmy sobie, że po prostu całkiem nieprawdopodobne — wtrącił się goprowiec.

Turyści, wspinający się po stromej ścieżce tak zwanego „Piekła” biegnącego do przełęczy, ze zdumieniem przyglądali się schodzącej w dół grupie. Największą sensację budzili milicjanci, niosący płócienną kukłę w kształcie człowieka.

Mniej więcej o tej samej porze, wczoraj, tą samą drogą niesiono zwłoki młodej dziewczyny, Anny Zemanek, która przyjechała w góry po odpoczynek, a dosięgła ją śmierć.

Czy była z kimś umówiona?

Może uciekła przed czymś właśnie do „Krokusa”?

Czy szukała przygody? Znajomości?

Czy stroniła od ludzi?

Na to ostatnie wskazywała samotna wycieczka, zakończona tak tragicznie.

Gdyby rzeczywiście chodziło o wycieczkę samotną...

Porucznik Jan Dudziak zdawał sobie w pełni sprawę, że będzie musiał odpowiedzieć sobie na szereg takich pytań, zanim rozwikła zagadkę.

— Jeszcze raz rzućmy okiem na tę listę — powiedział porucznik do kierowniczkii domu wczasowego „Krokus”.

— Nie ma tu wiele do czytania — stwierdziła. — Cała góra jest nieczynna z powodu remontu. Dlatego wydano do nas tylko kilka skierowań.

— Ile ma pani pokoi na dole?

— Sześć oraz moje biuro. Ale tylko trzy zajęte. Mogłam rozdzielić gości, ale pan rozumie: o wiele więcej kłopotów ze sprzątaniami, a o pracowników trudno.

— Rozumiem.

— Więc państwo Tobiaszewscy...

Przez drzwi pokoju biurowego kierowniczkii dobiegł nagle głos:

— Będziemy mieli wczasy! To ty chciałeś tu jechać, upierałeś się do tego Zakopanego! Już jest milicja na karku... Użyjemy jak pies w studni!

— Właśnie pan ją słyszy — wskazała na drzwi Halina Gałaj. — Starsi państwo, wydają się zamożni. Ona ciągle „ma za złe”. Rzeczywiście pan Tobiaszewski zbytnio nie odpocznie w tych warunkach.

— Więc nikt z mieszkańców „Krokusa” nie znał Anny Zemanek? Wszyscy twierdzą, że zobaczyli ją w „Krokusie” po raz pierwszy.

— Wie pan porucznik, jestem zajęta pracą, trzeba dopilnować służby, wydać produkty ze spiżarni, z tym jest sporo roboty, nie pozostaje wiele czasu na obserwowanie gości. Ale wydawało mi się, że i tu nie miał nikt okazji, żeby poznać lepiej tę biedaczkę. Trzymała się wyraźnie na uboczu.

— Kto jest z kolei na liście?

— Zdzisław Piątek — ciągnęła kierowniczkii — taki młody, może dwadzieścia pięć lat. Zdaje się, przyjechał z Gdyni. Uśmiecha się ciągle, ale tak jakoś... Zresztą — nic nie mogę o nim powiedzieć.

Mieszka z Ksawerym Wojteckim, dałam im pokój dwuosobowy, bardzo wygodny.

— Ten Wojtecki? — porucznik zawiesił głos pytająco.

— Wygląda na poważnego mężczyznę w sile wieku. Chyba czterdzieści lat, z Krakowa. Podał zawód: zaopatrzeniowiec. Spokojny, małomówny.

— Anna Zemanek przyjechała, jak wszyscy, pierwszego sierpnia?

— Tak... Choć nie wszyscy przyjechali pierwszego — przypomniała sobie kierowniczkii. — Tobiaszewscy przyjechali drugiego sierpnia. Spóźnili się na pociąg czy coś takiego.

— Czy widziała pani, co robiła Zemanek po przyjeździe?

— Pierwszego dnia prawie nie wychodziła z pokoju. Trochę opalała się na balkonie. Przychodziła na posiłki. Nic szczególnego nie zauważyłam.

— Drugiego sierpnia zorganizowano wycieczkę do Kościeliskiej?

— Tak. Wspólnie z wczasowiczami z „Szarotki”. Ja również wzięłam w niej udział.

— Czy wszyscy pojechali?

— Wszyscy oprócz Piątka.

— Ale Zemanek pojechała?

— Tak, na pewno. Była to zresztą krótka wycieczka, na obiad wróciliśmy. Po kolacji zorganizowaliśmy wieczorek zapoznawczy. Zemanek uczestniczyła w nim tylko kwadrans. Zaraz poszła spać.

— Czy widziała pani Annę Zemanek tego dnia po południu?

— Chyba przelotnie. Co robiła po obiedzie, pewnie dokładniej powiedzą te dwie panie, które mieszkały z Zemanek w jednym pokoju. Właśnie, zapomnieliśmy o Jadwidze Wiśniak i Marcie Rataj!

— Nie zapomnieliśmy — uspokoił kie-

rowniczkę porucznik. — Chciałbym prosić, żeby pani jeszcze raz pokazała mi ten pokój.

— Dobrze — zamknęła drzwi biura za sobą na klucz. — Te panie są u siebie.

— Prosiłem je o to — rzekł.

Pokój nie był duży, ale ustawny; mimo trzech łóżek znalazło się miejsce na szafę, stół, trzy krzesła i trzy nocne szafki. Przez okno widać było Giewont, scenę niedawnej tragedii. Przy stole siedziały dwie ładne, młode dziewczyny.

— Przepraszam, że przeszkadzam — porucznik wyciągnął notes. — Pani Jadwiga Wiśniak, maszynistka, zatrudniona w ZGSS w Łodzi, lat dwadzieścia jeden, pani Marta Rataj, lat dwadzieścia... Uczy się pani w liceum?

— Tak. Dokładniej: Liceum Pedagogiczne.

— Chce pani zostać nauczycielką?

— Tak.

— Zaraz... Przecież Zemanek była nauczycielką. Nie mówiła jej pani o swoich planach?

— Nawet jakoś zgadało się o tym... Mówiłam, że jak skończę, będę uczyć matematyki.

— Co ona na to?

— Nic. Nic na ten temat ani w ogóle, że sama pracuje jako nauczycielka. Ona była jakaś dziwna.

— Dziwna? — chwycił ją za słowo porucznik. — Na czym to polegało?

— Właściwie na niczym, nie wiem — nie umiała sprecyzować dziewczyna.

— Ona wyglądała tak, jakby niczym się nie interesowała — dorzuciła Jadwiga Wiśniak.

— Czy będę jeszcze panu potrzebna? — przerwała kierowniczką, która dotąd przysłuchiwała się im w milczeniu.

— Nie, dziękuję pani — odpowiedział porucznik.

Kiedy Gałajowa wyszła, porucznik chwilę jakby zastanawiał się nad następnym pytaniem.

— Zwracam się do obu pań — rzekł w końcu — żebyście starały się jednak określić, na czym polegała ta dziwność Anny Zemanek. To może być bardzo ważne dla sprawy. Więc?

— Czy ona popełniła samobójstwa? — odpowiedziała pytaniem Jadwiga Wiśniak.

— Trudno jeszcze stwierdzić — wykręcił się porucznik. — Czy była apatyczna?

Obojętna?

— Tak bym tego nie nazwała — stwierdziła Marta. — Odwrotnie. Wydawało mi się, pan wybaczy, poruczniku, że mówię tylko na podstawie mojego wewnętrznego odczucia, ale ona wyglądała na zaabsorbowaną czymś do tego stopnia, że otoczeniu mało już poświęcała uwagi.

— Czy pani jest też tego zdania? — zagadnął porucznik drugą współtowarzyszkę zmarłej.

— Raczej tak — potwierdziła Wiśniak.

— W ogóle nie zwracała się do nikogo bez powodu, choćby jakimś grzecznościowym zwrotem. Nawet nie patrzyła na otoczenie, tylko wzrok jej tak jakby gdzieś uciekał... Wyglądała na osobę chorobliwie nieśmiałą, jednocześnie mającą głowę zajęętą czymś dla niej bardzo ważnym. Jednak dbała o siebie. Drugiego dnia pobytu była u fryzjera.

Porucznik podszedł do pustego łóżka.

— Dziś jeszcze urzędowo zabezpieczymy jej rzeczy. To jest ta walizka?

Przytaknęły. Puste łóżko, koło niego walizka, sweter i płaszcz przewieszony przez poręcz krzesła.

Na nocnej szafce leżała książka wypożyczona przez Zemanek z miejscowej biblioteki. „Na skalnym Podhalu”.

— Nie widziały panie, by Zemanek rozmawiała z kimkolwiek ożywiona lub wykazując oznaki innej jakiejś reakcji: radości, złości, żalu, strachu?

— Nie. Tylko zdawkowe słowa. Na pewno.

— Dziękuję — rzekł porucznik żegnając się. — Gdyby któraś z pań przypomniała sobie coś istotnego, proszę o wiadomość.

Wyszedł na korytarz. W pokoju biurowym kierowniczkii stuknęła maszyna. Dudziak zawahał się, po czym udał się na pierwsze piętro. Podłoga była tu brudna od wapna i farby. Pod ścianami korytarza leżały deski, jakieś kubły i szafliki. Drzwi od pokoi były otwarte, wewnątrz stały puste, meble stąd usunięto.

Dokonawszy tych oględzin, zszedł na dół, wytarł buty o wycieraczkę, żeby nie zabrudzić świeżo wyfroterowanej podłogi.

Wreszcie zapukał do drzwi kierowniczkii.

— Jeszcze jedno — rzekł — Czy jest pani pewna, że poza służbą i osobami, które wymieniliśmy, nie zjawił się w

ostatnich trzech dniach w pensjonacie nikt obcy?

— Jestem pewna — potwierdziła. — Nie widziałam nikogo odwiedzającego nasz dom nawet na krótko, z wizytą.

— A robotnicy przeprowadzający remont? — zapytał porucznik.

Kierowniczka uśmiechnęła się blado.

— Pan nie zna naszych dzisiejszych remontów? Przychodzą, jak chcą, ciągle przerywają pracę. Ostatni raz byli tydzień temu!

Porucznik wychodził już z „Krokusa”, kiedy w drzwiach spotkał Zdzisława Piątkę. Był to młodzieniec o długich falistych włosach, ubrany z żurnalową superelegancją, może w nieco tandetnym stylu. Przedstawiał sobą typ piosenkarza bigbitowego, z domieszką konika sprzed kina.

— Dobrze, że pana widzę — rzekł porucznik. — Chcę z panem porozmawiać.

— Z przyjemnością — zapewnił Piątek, a na jego twarzy zakwitł uśmiech nie tylko uprzejmy, ale wręcz entuzjastyczny.

— Jeśli pani pozwoli — zagadnął oficer przechodzącą właśnie przez hall kierowniczkę — to porozmawiamy w jej gabinecie.

— Oczywiście — zgodziła się natychmiast i otworzyła pokój.

Pijltek uśmiechał się, ale mierzył porucznika okiem badawczo. Wzrok miał ostry i czujny.

— Pan porucznik zapali? — podsunął paczkę „carmenów”.

Ale porucznik nie palił.

— Mieszka pan w Gdyni, panie Piątek — mówił, przeglądając notatki — ulica Oksywska, wykształcenie średnie niepełne...

— Tak — poświadczył tamten. —

Technikum nie ukończyłem z powodu choroby...

—

Coś poważnego? — spytał porucznik z troską w głosie.

—

Nie, nic... Chociaż właściwie... trochę płuca, to znaczy ściślej szczyty zajęte, jakieś zwapnienia...

— Ale wykaraskał się pan z tego?

—

Tak... — Piątek zrobił zmartwioną minę. — Jednak do szkoły już nie wróciłem, głowa mnie często bolała, nauka nie szła, chciałem zarabiać...

—

Słusznie. Żeby nie być ciężarem dla matki-emerytki... Wziął się pan do roboty?

— Kiedy nie miałem szczęścia — zmarszczył czoło Piątek. — Jakoś nie mogłem natrafić na właściwą pracę...

— Jak długo pracował pan w stoczni?

—

Dwa tygodnie. To nie było dla mnie. Majster starej daty, źle nastawiony do młodzieży.

— A potem?

—

Trochę próbowałem w porcie przy wyładunku.

— Ile dokładnie dni przepracował pan?

— Zdaje mi się... siedem...

— Tam także majster źle ustosunkowywał się do młodzieży?

Piątek nie odpowiadał.

—

Tak, że się panu nie układało specjalnie... Nadal jest pan na utrzymaniu matki-emerytki...

—
Tak, w pewnym sensie — przyznał tamten.

— Jak pan dostał skierowanie do „Krokusa”?

—
Jeden znajomy z Gdańska mi załatwił...

—
Ale to są właściwie mniej ważne sprawy — porucznik Dudziak podniósł wzrok znad notatek. — Kiedy pan pierwszy raz spotkał się z Anną Zemanek?

—
Ja się z nią w ogóle nie spotkałem. Nie powiedziałem do niej ani słowa — zapewniał. — Nie wiem nawet, kiedy ją widziałem. Musiałem widzieć, ale nie pamiętam, czy pierwszego dnia, czy drugiego... Ja bym jej teraz nie poznał, gdybym ją zobaczył!

—
Drugiego sierpnia był pan na wycieczce do Kościeliskiej? niedawnej tragedii. Przy stole siedziały dwie ładne, młode dziewczyny.

— Przepraszam, że przeszkadzam — porucznik wyciągnął notes. — Pani Jadwiga Wiśniak, maszynistka, zatrudniona w ZGSS w Łodzi, lat dwadzieścia jeden, pani Marta Rataj, lat dwadzieścia... Uczy się pani w liceum?

— Tak. Dokładniej: Liceum Pedagogiczne.

— Chce pani zostać nauczycielką?

— Tak.

— Zaraz... Przecież Zemanek była nauczycielką. Nie mówiła jej pani o swoich planach?

— Nawet jakoś zgadało się o tym... Mówiłam, że jak skończę, będę uczyć matematyki.

— Co ona na to?

— Nic. Nic na ten temat ani w ogóle, że sama pracuje jako nauczycielka. Ona była jakaś dziwna.

— Dziwna? — chwycił ją za słowo porucznik. — Na czym to polegało?

— Właściwie na niczym, nie wiem — nie umiała sprecyzować dziewczyna.

— Ona wyglądała tak, jakby niczym się nie interesowała — dorzuciła Jadwiga Wiśniak.

— Czy będę jeszcze panu potrzebna? — przerwała kierowniczką, która dotąd przysłuchiwała się im w milczeniu.

— Nie, dziękuję pani — odpowiedział porucznik.

Kiedy Gała jo wa wyszła, porucznik chwilę jakby zastanawiał się nad następnym pytaniem.

— Zwracam się do obu pań — rzekł w końcu — żebyście starały się jednak określić, na czym polegała ta dziwność Anny Zemanek. To może być bardzo ważne dla sprawy. Więc?

— Czy ona popełniła samobójstwo? — odpowiedziała pytaniem Jadwiga Wiśniak.

— Trudno jeszcze stwierdzić — wykręcił się porucznik. — Czy była apatyczna?

Obojętna?

— Tak bym tego nie nazwała — stwierdziła Marta. — Odwrotnie. Wydawało mi się, pan wybaczy, poruczniku, że mówię tylko na podstawie mojego wewnętrznego odczucia, ale ona wyglądała na zaabsorbowaną czymś do tego stopnia, że otoczeniu mało już poświęcała uwagi.

— Czy pani jest też tego zdania? — zagadnął porucznik drugą współtowarzyszkę zmarłej.

— Raczej tak — potwierdziła Wiśniak.

— W ogóle nie zwracała się do nikogo bez powodu, choćby jakimś grzecznościowym zwrotem.

Nawet nie patrzyła na otoczenie, tylko wzrok jej tak jakby gdzieś uciekał... Wyglądała na osobę chorobliwie nieśmiałą, jednocześnie mającą głowę zajęętą czymś dla niej bardzo ważnym. Jednak dbała o siebie. Drugiego dnia pobytu była u fryzjera.

Porucznik podszedł do pustego łóżka.

— Dziś jeszcze urzędowo zabezpieczymy jej rzeczy. To jest ta walizka?

Przytaknęły. Puste łóżko, koło niego walizka, sweter i płaszcz przewieszony przez poręcz krzesła.

Na nocnej szafce leżała książka wypożyczona przez Zemanek z miejscowej biblioteki. „Na skalnym Podhalu”.

— Nie widziały panie, by Zemanek rozmawiała z kimkolwiek ożywiona lub wykazując oznaki innej jakiejś reakcji: radości, złości, żalu, strachu?

— Nie. Tylko zdawkowe słowa. Na pewno.

— Dziękuję — rzekł porucznik żegnając się. — Gdyby któraś z pań przypomniała sobie coś istotnego, proszę o wiadomość.

Wyszedł na korytarz. W pokoju biurowym kierowniczkini stukała maszyna. Dudziak zawahał się, po czym udał się na pierwsze piętro. Podłoga była tu brudna od wapna i farby. Pod ścianami korytarza leżały deski, jakieś kubły i szafliki; Drzwi od pokoi były otwarte, wewnątrz stały puste, meble stąd usunięto.

Dokonawszy tych oględzin, zszedł na dół, wytarł buty o wycieraczkę, żeby nie zabrudzić świeżo wyfroterowanej podłogi.

Wreszcie zapukał do drzwi kierowniczkini.

— Jeszcze jedno — rzekł. — Czy jest pani pewna, że poza służbą i osobami, które wymieniliśmy, nie zjawił się w

— Nie, ja nie przepadam za zbiorowymi wycieczkami. Raczej lubię spacerować indywidualnie, w grupie mniej przeżywam piękno krajobrazu, nie odbieram tak gór, rozumie pan...

— Tak, rozumiem — zapewnił porucznik. — Jedni lubią turystykę zbiorową, inni indywidualną. Jak wyglądał wieczorek zapoznawczy?

— Nie wiem. Nie byłem.

— Nie interesuje pana zabawa?

— Panie poruczniku — rzekł Piątek z lekkim uśmiechem człowieka wtajemniczonego w zawiloci tego świata — mnie wystarczy okiem rzucić na towarzystwo i ja już wiem, co i jak. Gdy tylko przyjechałem, to od razu zauważyłem, że ja się w ramach pensjonatu nie ubawię. Trzeba było zarzucić sieć gdzie indziej.

— Ale ten Wojtecki, z którym pan mieszka, robi dobre wrażenie?...

— Nie mam mu nic do zarzucenia, równy facet, spokojny, ale ja w męskim towarzystwie nie czuję się jak ryba w wodzie... Nie po to przyjechałem na wczasy.

— A po co?

— No... — zmieszał się Piątek — żeby zaczerpnąć powietrza, dotlenić się, nabrać sił...

— ...do pracy — podpowiedział porucznik i znów zaczął kartkować notatki. —

Tak, że z Zemanek pan nie rozmawiał...

— -Nie — zaprzeczył przesłuchiwany. — Może jej raz powiedziałem „dzień dobry”, ale i w to wątpię.

— A widział ją pan rozmawiającą z kimś innym?

— Nie. Tego też nie pamiętam.

— Dobrze. Trzeciego mieli jechać wszyscy na Cyrhlę. Pan nie pojechał?

— Mówiłem już, że nie lubię zbiorowych wycieczek. Zresztą wieczorem byłem w „Murowanej Piwnicy”, tam jakoś zeszło przy barze, rano trochę zasnęłam, głowa mnie bolała...

— I co pan robił potem?

— Normalnie, poszedłem się przejść, byłem na Krupówkach...

— Sam pan spacerował?

— Tak, sam. Cały czas...

— Co pan robił konkretnie?

— Tak włączyłem się, piłem wodę mineralną w sklepie... Potem kupiłem gazety... Wstąpiłem do „Kmicica”, piłem tam piwo, czytałem prasę, ból głowy wreszcie mi przeszedł... następnie poszedłem do „Kolorowej”, żeby coś zjeść.

Wszyscy byli na tej Cyrhli i stołówka w „Krokusie” nie wydawała obiadów.

Porucznik notował.

— To na razie byłoby wszystko... Gdyby coś się panu przypomniało, proszę się do mnie zwrócić.

— Ja, tak, oczywiście... zawsze chętnie pomógłbym milicji... — starał się nie pokazywać po sobie ulgi, z jaką żegnał się z prowadzącym śledztwo.

— Dziękuję, pańskie wyrobienie społeczne jest godne pochwały — rzekł porucznik i nie drgnęła mu przy tym powieka.

Piątek wyszedł, na jego miejsce zjawiała się kierowniczką.

— Fotograf przyniósł zdjęcia z Kościeliskiej, może to pana zainteresuje.

Dudziak pochylił się nad upozowanym zdjęciem zbiorowym uczestników wycieczki z „Krokusa” na tle schroniska Ornak. Obecni byli wszyscy oprócz Piątka, Anna Zemanek stała między Jadwigą Wiśniak i Martą Rataj. Dalej Tobiaszewscy, Wojtecki, Halina Gałaj.

— Pożyczę to sobie na dzień, dwa — zaproponował.

— Proszę bardzo...

— Czy nie widziała pani Ksawerego Wojteckiego? — zapytał porucznik wracając do kartkowania notatek.

— Właśnie przed chwilą wrócił z miasta.

Nagle zadzwonił telefon.

— Do pana, poruczniku — kierowniczką podała słuchawkę.

— Dudziak przy telefonie...

Mówił sierżant Książek.

— Czy porucznik nie wpadłby do komendy? Jest coś interesującego...

— Przyślijcie wóz. Zaraz będę.

— Już przysyłam.

— Dzisiaj chyba więcej nie będę pani przeszkadzał — oświadczył porucznik Dudziak kierowniczkę, która zaprotestowała energicznie, twierdząc, że po tym godnym pożalowania wydarzeniu, obecność oficera milicji może tylko podnieść ją na duchu.

Porucznik odnalazł tymczasem Wojteckiego.

— Chciałem porozmawiać z panem tu na miejscu, ale ważny telefon wezwał mnie na komendę. Czy nie zrobiłoby panu różnicy wpaść tam ze mną na pół godziny? Samochód przyjedzie po nas za minutę.

Wojtecki zgodził się bez wahania, ale nie wyglądał na zachwyconego. Opuszczenie pensjonatu w towarzystwie mężczyzny w cywilu, z którym razem miał

wsiąść do milicyjnego auta, mogło, po tym, co się zdarzyło, wyglądać dwuznacznie.

Wojtecki zachowywał się jednak tak, jakby doceniał w pełni trud milicji w podobnie przykrych sprawach i gotów był służyć jej wszelką pomocą, nie oszczędzając swojej osoby.

Porucznik usiadł za biurkiem wskazując Wojteckiemu krzesło przed sobą.

W rękę trzymał kopertę, którą przed chwilą wręczył mu sierżant.

Protokół sekcji zwłok Anny Zemanek stwierdzał na całym ciele liczne obrażenia, zadrapania, rozległe wybroczyny krwawe i złamanie podstawy czaszki. Ono, zdaniem biegłego lekarza, stało się przyczyną śmierci.

— "Stwierdzono ponadto, że Anna Zemanek w chwili zgonu była w trzecim miesiącu ciąży.

— Proszę pana — rzekł porucznik chowając dokument do szuflady biurka —

jest pan zatrudniony w Przedsiębiorstwie Handlowym „Fablok”, mieszczącym się w Krakowie, Kielecka 32, jako zaopatrzeniowiec. Do „Krokusa” przyjechał pan pierwszego sierpnia. Gdzie pan poznał Annę Zemanek?

— Ściślej mówiąc, ja jej w ogóle nie poznałem, w takim sensie, że ani nie zostaliśmy sobie przedstawieni, ani właściwie nie rozmawialiśmy ze sobą. Raz, czy dwa chyba powiedziałem jej „dzień dobry” i to wszystko.

Do pokoju wszedł sierżant Książek i nachylił się w stronę porucznika.

— Przepraszam, dzwonił komendant posterunku z Prądnika i mówił, że zlecenie wypełnił.

Sierżant usiadł przy biurku, zaś porucznik ciągnął dalej:

— Podczas wycieczki do Kościeliskiej nie rozmawiał pan z nią wcale?

Wojtecki zastanowił się.

— Nie.

— Czy widział pan, żeby Zemanek rozmawiała w Kościeliskiej z kimś innym?

— Nie pamiętam. Chyba nie widziałem.

— A podczas wieczorku zapoznawczego?

Wojtecki znów się zamyślił.

— Zjawiała się tam zaledwie na kilkanaście minut. Jeśli widziałem ją, to raczej bardzo przelotnie.

— A pan był dłużej?

— O, tak, siedziałem prawie do dwunastej. Rozmawiałem z panem Tobiaszewskim o wędkarstwie. To moje hobby.

— Proszę się dobrze zastanowić. Czy w ciągu tych trzech dni pobytu w „Krokusie” widział pan lub słyszał Zemanek rozmawiającą z kimś w sposób — rzecz by można — zaangażowany, wykraczający poza konwencjonalną, grzecznościową konwersację?

— Nie, nie słyszałem, nie widziałem. Muszę tu dodać, panie poruczniku, dla ścisłości — podkreślił przesłuchiwany — że ja na panią Zemanek absolutnie nie zwracałem uwagi. Nie wiem nawet, czy teraz bym ją poznał, gdybym ją zobaczył, tak mało rzucała się w oczy...

— Tak... — kontynuował porucznik. — Dochodzimy do dnia trzeciego sierpnia. We wspólnej wycieczce na Cyrhlę nie brał pan udziału?

— Nie. Tego dnia wybrałem się na samotną wyprawę.

— Dokąd?

— Pojechałem do Doliny Chochołowskiej. Stamtąd poszedłem na Czerwony Wierch, przez Wołowiec i Łopatę. W sumie zabrało mi to prawie cały dzień. Do pensjonatu wróciłem na kolację.

— Czy podczas tej samotnej wyprawy nie spotkał pan kogoś, kogo by pan zapamiętał?

— Nie, nie przypominam sobie. Pyta pan, czy ktoś mnie widział?

— No, można by to i tak ująć...

— Nie przypominam sobie nikogo, nikt nie utkwił mi w pamięci... Poza takim siwym, opalonym panem w schronisku, chyba to był kierownik. Ale czy on mnie zapamiętał, tego nie wiem.

— Tak, rozumiem. Przepraszam teraz, że zadam panu pytanie na inny nieco temat... Ile pan zarabia jako ten zaopatrzeniowiec?

— Tysiąc pięćset złotych... Jestem na pół etatu...

— Mimo to daje pan sobie jakoś radę finansowo?

— Właściwie... moja żona ma warsztat wyrobów plastycznych w Bronowicach, powodzi nam się dobrze, mógłbym na dobrą sprawę wcale nie pracować, mamy własny domek...

— Samochód pan ma?

— Miałem Moskwicza, ale był już wysłużony. Sprzedałem trzy miesiące temu... Panie poruczniku, teraz sobie coś przypominałem!

— Słucham pana?

— Pan pytał, czy ktoś mnie widział podczas wyprawy na Czerwony Wierch. Za to ręczyć nie mogę, ale teraz przypominałem sobie, że został przecież mój wpis w książce wypraw górskich w schronisku. Zapisałem godzinę wyjścia... zdaje mi się, że około dziewiętej trzydzieści...

Porucznik zanotował.

— Czy powrót też pan wpisał?

— Raczej tak... Tak, oczywiście, zbliżała się wtedy piąta albo po piątej...

Jutro to sprawdźcie — napisał na kartce porucznik i podsunął sierżantowi Książkowi.

— Jeśli czegoś będę od pana potrzebo

wał, zjawię się w „Krokusie” — porucznik wstał i podał Wojteckiemu rękę.

— Zawsze do usług — rzekł tamten.

— Proszę pana... — powiedział nagle sierżant Książek w momencie, kiedy Wojtecki opuścić miał pokój.

— Słucham? — wychodzący zatrzymał się.

— Nie, nic... Już nic... Do widzenia panu!

— Czego wyście chcieli od niego? — zdziwił się porucznik, kiedy zostali sarni.

— Ja? Nic — zapewnił go sierżant. — Ale myślałem, że może pan porucznik...

— Nie rozumiem?

— Bo w książkach kryminalnych, panie poruczniku, to zawsze tak jest, że prowadzący śledztwo najważniejsze pytanie zadaje już po zakończeniu przesłuchania, przy drzwiach...

— Sierżancie! — ostrym tonem zaprotestował porucznik — proszę dać spokój z tymi waszymi kryminalnymi pomysłami!

— Wszystko to nie wydaje się łatwym do zgryzienia orzechem — rzekł porucznik Dudziak, kiedy wiozący go do Krakowa kierowca milicyjnego Fiata zapytał o sprawę znalezionej w górach dziewczyny.

— Wczoraj jechałem z majorem — zwierzył się milicjant przy kierownicy. — Mówił, że na pana porucznika to można liczyć jak na PKO...

Dudziak wyczuwał, że major darzył go sympatią. Może dlatego, że interesował się narciarstwem i często kibicował mu podczas slalomów na Nosalu i Kasprowym Wierchu, chociaż porucznik, mieszcząc się przeważnie w pierwszej dziesiątce, nie zajął nigdy pierwszego miejsca. Milicyjna służba nie pozwalała na codzienny, wielogodzinny trening.

W Zakopanem, dokąd skierowano go po szkole oficerskiej, był już dwa lata, a jak dotąd nie prowadził samodzielnie tak poważnej sprawy. Domyślał się, że major czeka, aż porucznik okrzepnie, nabierze doświadczenia. Mawiał, że jest lepiej, jak pierwsza duża sprawa kończy się dla oficera śledczego pełnym sukcesem. Bo zdarza się różnie.

Tymczasem zagadka Anny Zemanek nie wydawała się łatwą do rozwiązania.

Jak dotąd nie wyłonił się żaden, najmniejszy nawet, punkt zaczepienia.

Wprawdzie komendant milicji na Prądniku spełnił już niewdzięczne zadanie i osobiście zawiadomił Stefanię Zemanek, matkę Anny, o śmierci córki w wypadku w górach, ale porucznika czekała jeszcze kłopotliwa rozmowa z tą, dotkniętą tak wielkim nieszczęściem, kobietą.

Mały, niezbyt reprezentacyjny domek przy niewielkiej uliczce na Prądniku.

W bardziej niż skromnie urządzonej sypialni, po przebytych niedawno zapaleniu płuc, leżała w łóżku Stefania Zemanek, emerytka, wdowa po kolejarzu.

Krzątała się koło niej sąsiadka, ale wyniosła się po przybyciu porucznika.

Ten przedstawił się matce Anny, złożył jej wyrazy współczucia, odczekał westchnienia i łzy, przeprosił za najście oraz zapewnił, że rozmowa, konieczna ze względów formalnych, będzie trwała krótko.

— Czy pani córka miała wielu znajomych, przyjaciół? Czy wyróżniała specjalnie jakieś koleżanki? Czy spotykała się z jakimiś kolegami? Czy miała może narzeczonego? — zadawał kolejne pytania.

— Anna nie garnęła się do ludzi — mówiła Stefania Zemanek. — Nie była towarzyska. Nie lubiła chodzić na zabawy z tego powodu często się na nią gniewałam. Nie spotykała się z żadnymi kolegami. O narzeczonego w ogóle nie było mowy. Twierdziła zawsze, biedaczka, że ma na to czas. Nie miała też przyjaciółek wśród dziewcząt. Dwa razy odwiedziła ją w domu koleżanka, z którą uczyła razem w jednej szkole, tu na Prądniku, niejaka Natalia Ciołkosz.

Z dalszej rozmowy porucznik nie wydobył nic więcej.

W szkole, gdzie pracowała Anna Zemanek, porucznik otrzymał adres nauczycielki.

— Bardzo to wielka strata dla nas — powiedziała Natalia Ciołkosz. — Annę lubiliśmy wszyscy...

— Pani była jej przyjaciółką?

Nauczycielka zamyśliła się.

— Raczej nie. Ona nie zawierала łatwo przyjaźni. Była moją koleżanką, odwiedziła mnie w domu, ja pojechałam raz czy dwa do niej, ale pozostał między nami pewien dystans. Myślę, że to

zamknięcie się w sobie spowodowała jej nieśmiałość.

— Gdyby miała jakąś tajemnicę, zwierzyłaby się pani?

— Nie sędzę.

— Czy miała chłopca, znajomego, z którym się spotykała?

— Nie — Natalia Ciołkosz zastanowiła się. — Raczej nie. A przynajmniej ja o tym nic nie wiem. Nigdy ją z żadnym mężczyzną nie widziałam.

— Nie spostrzegła pani u niej, szczególnie w ostatnich kilku miesiącach, zdenerwowania, podniecenia, zachowania innego niż zwykle? Może powiedziała kiedyś coś, co wydało się pani dziwne?

— Nie. Niczego nie spostrzegłam.

— Nie widziała pani jej rozmawiającej przez telefon? Otrzymywała może od kogoś listy?

— Nie widziałam. Nie wiem.

— Szkoda — zrezygnował porucznik. — Chyba w niczym nie będzie mi pani mogła pomóc.

Żegnał się już, kiedy nauczycielka powiedziała:

— Nie jestem pewna, czy to mogłoby pana zainteresować, ale w lutym tego roku byliśmy obie na wczasach orbisowskich w Krynicy. Mieszkałyśmy w domu

„Złocien”.

— Wydarzyło się tam coś szczególnego?

—

Nie, ale Anna spóźniła się o trzy dni. Miałyśmy skierowanie od pierwszego lutego, a ona przyjechała o trzy dni później.

Wspominała, że zatrzymało ją coś w domu.

— Hm... Może w tym „Złocieniu” poznała kogoś?

— Przez cały czas trzymałyśmy się ra-

zem. Mieszkałyśmy w jednym pokoju. Nic godnego uwagi nie zaszło.

— Dziękuję pani.

Wychodząc porucznik pomyślał, że mogła to być pierwsza istotna dla tej sprawy wiadomość.

Tym bardziej że matka Anny, do której wstąpił jeszcze na chwilę, dokładnie pamiętała wyjazd swej córki na zimowe wczasy do Krynicy.

Anna wyjechała wcześniej rano pierwszego lutego.

Po drodze do Zakopanego porucznik zboczył w kierunku Krynicy. W pensjonacie „Złocien” zażądał listy gości z lutego bieżącego roku.

Tak się złożyło, że jedno z nazwisk już znał. Imię też zgadzało się z imieniem osoby, figurującej w jego notatkach.

Znajomym był Antoni Tobiaszewski, przebywający wtedy w „Złocieniu” samotnie, bez małżonki.

Przed komendą porucznik spotkał sierżanta Książka, który wrócił przed chwilą z Chochołowskiej.

— Może pan porucznik pójdzie ze mną na kielbasę z rożna?

— Chętnie, zgłodniałem podczas tej podróży — przyjął propozycję porucznik.

Wzięli po dwie porcje, z musztardą, i piwo.

— Kierownik schroniska mówi, że chyba widział tego Wojteckiego przed kilkoma dniami. Pokazałem mu powiększoną odbitkę zdjęcia, na której gościa widać wyraźnie. Powiada, że pewności nie ma, ale chyba to ten. Był na samotnej wycieczce. W książce sprawdzałem: jest wpisana wyprawa Ksawerego Wojteckiego na Czerwony Wierch w dniu 3 sierpnia. Godzina wyjścia dziewiąta piętnaście, po-wrót o siedemnastej dziesięć.

— Martwię się, że jak dotąd nie mamy

wyników w naszej sprawie — powiedział w zamyśleniu porucznik. — Wstąpmy teraz na kawę do „Kmicica”, dobrze? Mam tam coś do załatwienia.

Ruszyli Krupówkami w górę. Ruch o tej porze był na ulicy kolosalny. Całe korowody wycieczkowiczów, wczasowiczów, tysiące, dziesiątki tysięcy ludzi.

Przeważała młodzież, niestety w większości z tranzystorami. Wokół lunety pod stacją benzynową zgromadziła się grupa kilkudziesięciosobowa. 'Właściciel za spojrzenie na Giewont zgarniał po złotówce.

— Niech szybciej budują to drugie Zakopane, bo jedno rozdepczą nam turyści w ciągu kilku lat — uzalał się sierżant.

— Podobno wysokość niektórych szczytów, gdzie ścieżka biegnie granią, zmałała już o metr od czasu umasowienia turystyki — dorzucił porucznik.

— My tymczasem musimy zejść ze szczytów na ziemię... — zauważył sierżant.

— Najpierw zatelefonuję — powiedział porucznik. — Chcę porozmawiać z niejakim panem Tobiaszewskim.

W „Kmicicu” nakręcił numer.

— Państwo Tobiaszewscy wyjechali na wycieczkę do Czechosłowacji — zakomunikowała kierowniczką „Krokusa”.

Porucznik i sierżant usiedli przy stoliku. Zamówili kawę.

— Dziwne to jakieś... — powiedział sierżant, wskazując na wiszące na ścianach obrazy.

— Tak, ale dla mnie dziwniejsza jest nasza sprawa. Nie posunęliśmy się ani o krok, nie znaleźliśmy najmniejszego śladu. Ta Anna Zemanek, dwudziestodwuletnia dziewczyna, wcale nie przypomina przedstawicielki dzisiejszej normalnej młodzieży. Nie umawia się z chłopcami, nie chodzi na zabawy, nie ma przyjaciół

ani przyjaciółek, którym by się zwierzała ze swych kłopotów. Jest oddzielona od świata jakimś murem, sama ze swymi myślami, skryta, zamknięta...

— A przy tym w trzecim miesiącu ciąży — dorzucił Książek.

— Właśnie! Cóż za jakaś szatańska konspiracja! — irytował się porucznik. —

Przed kim się kryła? Dlaczego? Wprost

nie do uwierzenia, żeby nie spotykała się z nikim! Przynajmniej raz musiała się spotkać na pewno, ale z kim? Gdzie? Kiedy? Trzeba to koniecznie ustalić!

—

Pan porucznik mówi, że Zemanek wydaje się taka inna niż zwykle młode dziewczyny, samotna, trzymająca się na uboczu. Może kiedy wreszcie spotkała ko-goś, kto zrobił na niej wrażenie, było to przeżycie o wiele silniejsze niż dla normalnej dziewczyny?

—

Coś w tym jest — potwierdził porucznik. — Mało stykała się z życiem, była jakby sterylna... Każdy bakcył mocniej i gwałtowniej działa na osobę nie uodpornioną... — wyjął notatnik i zajrzał do niego. — Na zdjęciu z Kościeliskiej nie ma Piątka. Prosiłem, żeby pan postarał się o jego fotografię.

—

Tak jest — sierżant wyjął zdjęcie z kieszeni. — Mam je gotowe.
Porucznik przywołał kelnerkę.

—

Panie pracują tu na zmianę? — spytał. — Po dwie?
— Tak — potwierdziła.

—

Może przypomina pani sobie, kto miał dyżur trzeciego sierpnia?
Zamyśliła się.

— Musiałabym spojrzeć na kalendarz.
— Proszę bardzo.

Przyniosła kalendarzyk. Otworzyła na miesiącu sierpniu.

—

To była środa... Właśnie my miałyśmy dyżur z koleżanką.

—

W takim razie mam do pani pytanie — pokazał zdjęcie. — Czy zna pani tego młodzieńca?
Kelnerka obejrzała zdjęcie Zdzisława Piątka z wielkim zainteresowaniem.

—

Tak! — zawołała. — Ja go znam! Ale nie osobiście — poprawiła się zaraz — widziałam go na Krupówkach czy na 15-go Grudnia...

—

Chodzi mi o to — sprecyzował porucznik — czy widziała go pani tego dnia w „Kmicicu”?

—

W „Kmicicu”? Trzeciego sierpnia?...

— zastanowiła się. — Może i widziałam, ale dokładnie nie pamiętam...
Zapłacili za kawę.

—

Koleżanka jest akurat sama w bufecie — dodała dziewczyna. — Może pój dziemy do niej?
Niech pan porucznik ją zapyta.

— Pani wie, że jestem porucznikiem?
— zdziwił się.

—

Czy sądzi pan, że inaczej odpowiadałabym tak chętnie na niecodzienne pytania?
Koleżanka w bufecie uważnie przypatrzyła się zdjęciu.

—

Więc chodzi o to, czy ten człowiek był w „Kmicicu” trzeciego sierpnia...

—

Konkretnie w godzinach mniej więcej od dwunastej w południe do drugiej — dorzucił Dudziak.

—

Jak to? Pan porucznik nie mówił, że chodzi mu o godziny przedpołudniowe

— powiedziała pierwsza rozmówczyni.

— Przed południem to on tu w ogóle nie mógł być!

— Dlaczego? — zainteresowali się obaj.

—

Trzeciego sierpnia „Kmicica” otwarto dopiero o czwartej. Wiszyscy pracownicy skierowani zostali na badania lekarskie.

—

Tak — poświadczyła koleżanka zza bufetu. — Trzeciego zaczęliśmy pracę o czwartej. A co się właściwie stało?

Porucznik i sierżant uchylili się jednak od wyczerpującej odpowiedzi.

Wychodząc z „Kmicica” spotkali Halinę Gałaj, kierowniczkę „Krokusa”.

— Dobrze, że pana widzę, poruczniku

— powiedziała. — Chciałabym dorzucić coś do tego, o czym mówiliśmy.

— Tak... A o co chodzi?

— Kiedy jeszcze Anna Zemanek żyła, widziałam ją raz na 15-go Grudnia. Koło niej zatrzymał swój samochód Czarnecki i coś do niej mówił...

— Kim jest ten Czarnecki?

— Ma na imię Wojciech, jeździ czerwoną Skodą, trudno powiedzieć, czym się zajmuje. Często widuje się go z wczasowiczkami.

— Sierzancie, ustalcie, gdzie on mieszka, możliwie szybko!

— Tak jest, panie poruczniku — od- meldował się sierżant służbiście.

— Idzie pani z „Krokusa”? — spytał porucznik kierowniczkę.

— Tak.

— Czy jest tam pan Zdzisław Piątek?

— Właśnie przyszedł z miasta.

— Do widzenia i dziękuję. Mam do niego pilny interes.

Porucznik podjechał przed „Krokus” i za chwilę pukał do pokoju, gdzie mieszkał Piątek z Wojteckim. Zastał go samego, zajętego przeglądaniem „Kulis”.

— Chciałbym z panem pomówić — zwrócił się porucznik do Piątka, który usłużnie podsunął mu krzesło i sam usiadł naprzeciw.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

— Przyjemnie byłoby w tym „Krokusie” i w ogóle w Zakopanem, gdyby nie to tragiczne zdarzenie — zagadnął, obserwując przedstawiciela władzy kątem oka. —

Tylko... mój towarzysz z pokoju jest ostatnio jakoś zdenerwowany, sypia niespokojnie... — informował porucznika gorliwie, w ramach ochotniczej współpracy społeczeństwa z milicją.

Sam jednak wydawał się nie mniej niespokojny.

— Niech pan mi powie jeszcze raz — rzekł porucznik, nie podejmując tematu, który podsuwał mu gospodarz — co pan robił przed południem trzeciego sierpnia.

— Ja? — zdziwił się Piątek. — No... już mówiłem... włączyłem się tak bez celu.

Głowa mnie bolała, piłem wodę mineralną na Krupówkach... Czytałem gazety...

— Gdzie?

— No... chyba... — jąkał się indagowany. — Tak! w „Kmicicu”.

— A jeśli udowodnię, że nie mógł pan być w „Kmicicu”?

— Dlaczego? Nie mogłem? — Był wyraźnie przerażony.

— Panie Piątek — rzekł spokojnie porucznik. — Źle pan robi, nie mówiąc prawdy.

Młody człowiek wpadał w coraz większą panikę.

— Pan porucznik uważa, że zeznaję fałszywie? Ja miałbym...

— Niech pan sobie zda sprawę z faktu, że kłamiąc, bardzo pan sobie szkodzi.

Będzie pan podejrzany o morderstwo!

— Panie poruczniku! Co pan mówi! Ja, o morderstwo? — Oczy Zdzisława Piątka wyglądały tak, jakby za chwilę miały wyskoczyć z orbit. — Ja bym muchy nie skrzywdził... Taki już jestem... Skąd na mnie podejrzenie? Zaklinam się, panie poruczniku...

— Gdzie pan był przed południem trzeciego sierpnia? — powoli pytanie oficer.

— No, nie... Kiedy pan tak nalega, to już powiem... Tym bardziej że to głupstwo, właściwie nie mam pojęcia, dlaczego nie pamiętałem wtedy... Z tym „Kmi-cicem” to mi się coś przyśniło... Uważa pan porucznik, w „Murowanej Piwnicy” poznałem dość przyjemnych Jugosłowian... Bawiliśmy się, trochę przy barze, trzeba przyznać, że postawili mi kilka wódek i dlatego głupio mi było się wykręcać, kiedy prosili, żebym następnego dnia towarzyszył im na Bukowinę. To było trzeciego sierpnia przed południem...

— Właśnie. Dlaczego miałby pan się wykręcać? A po co jechaliście na Bukowinę?

— Oni mieli tam do kogoś interes.

— Do kogo mianowicie?

— Nie mam pewności... Chyba to jest góral, nazywali go tak jakoś...

— Jak?

— O tak... Czarny Stach!

Porucznik notował.

— Nie chcę bawić się w jasnowidza, panie Piątek — rzekł — ale obawiam się, że w najbliższej przyszłości może pan wpaść w kłopoty. Nie wzięłyby się pan Hr uczciwą pracę?

— To jest myśl, panie poruczniku! — zawołał Piątek olśniony. — Zaraz po powrocie z wczasów!

Czarneckiego odwiedził porucznik w jego mieszkaniu przy ulicy Bystre.

— Pan Czarnecki Wojciech... Czy można wiedzieć, czym się pan zajmuje?

— W zasadzie wykonuję zawód arty

styczny — mówił Czarnecki — zajmuję się pracą chałupniczą... Robię różne ozdoby z metalu, naszyjniki, pierścionki... — Miał przyjemny głos i w ogóle był przy-stojnym młodzieńcem, z czego najwyraźniej w pełni zdawał sobie sprawę.

— Skończył pan studia?

— Niezupełnie... Brakuje mi kilku egzaminów do ukończenia liceum Kenara...

— Czy pan zna Annę Zemanek?

— Nie... Nie przypominam sobie. Właściwie jestem pewien, że nie słyszałem tego nazwiska.

— A tę dziewczynę pan pamięta? — porucznik podsunął Czarneckiemu fotografię Anny.

Długo przyglądał się zdjęciu.

— Nie — rzekł wreszcie. — Nie przypominam sobie. Tyle znam różnych dziewczyn, że mógłbym pomylić... ale tej nie znam...

— Ktoś pana widział rozmawiającego z nią.

—Mnie?

— Tak. Niech pan sobie dobrze przypomni. To jest ważne. Ona nie żyje.

Czarnecki przeraził się.

— Nie żyje? A co się stało? Co ja mam z nią wspólnego? Nie znam jej!

— Powtarzam, że ktoś widział, jak pan z nią rozmawiał.

— Przysięgam, że nie pamiętam — zapewniał przedstawiciel artystycznego za-wodu. — Gdzie mogłem z nią rozmawiać? Niech mi pan pomoże!

— Dobrze — zgodził się porucznik. — To było pierwszego lub drugiego sierpnia na ulicy 15-

Grudnia. Podjechał pan do idącej czerwona Skoda i coś pan do niej mówił.

Czarnecki uspokoił się wyraźnie.

-- To jest bardzo możliwe, panie poruczniku, chociaż tego nie pamiętam. Ja mam taki zwyczaj, że kiedy jadę autem, a widzę kogoś idącego piechotą, to bardzo często zwalniam albo nawet zatrzymuję się i proponuję podwiezienie. Traktuję to po prostu jako zwykłą, ludzką życzliwość. Z natury jestem uprzejmy, dobrze wychowany.

— Starsze, niedołążne osoby też pan podwozi, mam nadzieję?

— Ludzie starsi nie zawsze dobrze znoszą jazdę samochodem. Natomiast nie ma pan wprost pojęcia, panie poruczniku, jaką przyjemność sprawia przejażdżka autem młodym dziewczynom!

— Mogę sobie wyobrazić. Czasem zdarza się jednak, że niektóre osoby nie korzystają z pańskiej uprzejmości?

— O, właśnie — przytaknął Czarnecki.

— Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale może z tą dziewczyną też podobnie wyszło ... Wie pan, ona idzie, ja podjeżdżam, zwalniam, rzucam uprzejmą propozycję, ale muszę patrzeć głównie przed siebie, bo prowadzę auto. Jeśli ona odmawia albo bawi się ze mną w niemowę, to ja szpula, gaz i już mnie nie ma. Czy ja mogę potem poznać taką, na którą patrzałem ułamek sekundy kątem oka?

Porucznik rozłożył ręce na znak, że zdaje sobie sprawę z trudności zapamiętania twarzy wszystkich przechodzących ulicą dziewcząt.

— Co pan robił trzeciego sierpnia przed południem?

— Ja? Trzeciego sierpnia... — głowił się szarmancki człowiek. — Nie pamiętam. Prowadzę niezbyt uregulowany tryb życia... Może byłem na basenie na Jaszczurówce?

— Więc nie może pan sobie przypomnieć?

— Niestety. Nie mogę.

— Szkoda. To byłoby Wszystko, do widzenia.

Kiedy porucznik wyszedł na ulicę, zmierzchało.

Zmęczony, ruszył w kierunku domu. Dwa lata temu dostał kawalerkę w pobliskich blokach, co wywołało mieszane uczucia: radość z własnego mieszkania i żal do projektantów, że budując te bloki, tak bardzo oszpecili Zakopane.

Wczesnym rankiem dziewiątego sierpnia zadzwonił ktoś do drzwi porucznika.

— Serwus, stary!

— Jak się masz, Czesiek!

Uściskali sobie dłonie gorąco.

Rannym gościem był kapitan Czesław

Szarecki. Znali się od lat, obaj z Dudziakiem pochodzili ze Szczytna, gdzie kończyli Oficerską Szkołę Milicji Obywatelskiej, chociaż kapitan o kilka lat wcześniej.

Po szkole studiował prawo.

— Co z tobą? Na odpoczynek? Jak twoja praca doktorska?

Szarecki już od kilku lat zbierał materiały do elaboratu: „Przestępstwo dewi-zowe i jego sprawca”. Bardzo pasjonował go temat i związana z nim penetracja marginesu społecznego.

— Nic z tych rzeczy, Jasiu — sprostował kapitan. — Ani odpoczynek, ani praca naukowa. Bądź gotów za pół minuty. Duży pośpiech. Dokonano morderstwa.

— Gdzie? Co. ty masz z tym do czynienia? — wypytywał porucznik już w samochodzie.

— Oddelegowano mnie z Krakowa — wyjaśniał kapitan. — Podobno teraz w sezonie jesteście tutaj bardzo zajęci.

— Kogo zamordowano?

— Jakiś Wrzos na ulicy Kasprusie. Zaraz; tam będziemy. Major prosił, żebyś mi asystował podczas pierwszych oględzin. Jesteś tutejszy. Zabierzemy jeszcze łazik sprzed komendy.

Po drodze dołączył samochód terenowy. Był w nim pies gończy z przewodnikiem, technik śledczy i fotograf.

— Co o tym wiesz bliższego? — indagował porucznik.

— O szóstej rano sąsiad przypadkiem zajrzał przez okno — odparł kapitan — zobaczył zwłoki i zawiadomił posterunek.

Za chwilę byli na miejscu. Zdążył już zebrać się tłum ciekawych. Dostępu do małego, drewnianego domku przy ulicy Kasprusie bronił milicjant w mundurze.

— Kto zawiadamiał milicję? — spytał kapitan.

— Ja — rzekł starszy, tęgi mężczyzna, wychodząc z tłumy. Po zaroście widać było, że dzisiejsze emocje nie pozostawiły mu czasu na ogolenie się.

— Pańskie nazwisko, adres?

— Gałas Franciszek, mieszkam dwa domy dalej. Wychodziłem właśnie, żeby kupić coś na targu, rano jest większy wybór i tak odruchowo zajrzałem do okna tego... nieszczęśnika...

— Jak się nazywał?

— Szymon Wrzos, był inwalidą.

— Od kiedy tu mieszkał?

— Będzie ze cztery lata. Przyjechał podobno z Kielc.

— Wie pan może, czym się zajmował?

— O tyle, o ile... Miał chyba jakąś rentę, poza tym trochę pośredniczył przy wynajmowaniu mieszkań turystom.

Kapitan notował skrzętnie.

— Czy przyjaźnił się z kimś?

— Nie, raczej był odludkiem.

— Pan był u niego kiedyś w mieszkaniu?

— Nie, nigdy. Czasem zamienialiśmy słowo, czasem dwa i to wszystko.

— Dziękuję. Proszę nikogo nie przepuszczać — rozkazał kapitan milicjantowi przy furtce. —

Zobaczmy w środku.

Do pokoju wszedł najpierw przewodnik z psem. Zwierzę węszyło, kręciło się w kółko, wybiegało na zewnątrz, wracało. Wreszcie pies złapał widocznie jakiś trop, bo wypadł na ulicę. Za nim, ze smyczą w rękę, podążył przewodnik.

Pokój miał drewniane, dość brudne ściany, z zaciekami pod sufitem. Pod oknem stało okryte kocem łóżko, dalej szafa, na niej sterta papierów, w kącie miednica na metalowym stojaku, dzbanek, na środku pokoju stół, wokół trzy krzesła, w pobliżu — wózek inwalidzki. Na jednym z krzeseł siedział mężczyzna z głową zwisającą, opartą o blat stołu. Na środku łysawej, rzadko pokrytej siwym włosiem czaszki widniała rozległa krwawa rana. Krew spływała na stół, ściekała po nodze stołu, przy której utworzyła się na podłodze niewielka kałuża.

Na stole otwarta, ale zaledwie zaczęta puszka pasztetu, butelka wódki i dwa kieliszki. Ten przy zmarłym był wypity, drugi — pełen.

Pod ścianą stała szafa z wyciągniętymi szufladami. Była otwarta, a wszystkie rzeczy poprzewracane. Obok szafy leżała otwarta walizka. Ktoś przeszukiwał ją w pośpiechu.

Błysnęły flesze. Technik otworzył wa-

lizkę, wydobyl materiały i systematycznie zaczął pokrywać proszkiem do wykrywania odcisków palców blat stołu, butelkę, talerze, kieliszki.

Na ulicy zawyła syrena pogotowia. Zjawił się lekarz, sanitariusze z noszami.

— Byłem tu już przed siódmą, rzuciłem okiem — rzekł lekarz. — Raczej wszystko jest jasne. Ma dwie rany: pośrodku tylnej części czaszki i koło skroni.

Uderzenia tępym, twardym przedmiotem,

o sporej powierzchni. Śmierć nastąpiła chyba wczoraj późnym wieczorem. Tyle na oko. Jutro postaram się dać wam wyniki sekcji. Czy można zabierać?

— Moment.

Dokładnie sprawdzono kieszenie. Technik milicyjny zebrał nawet drobne śmiecie i okruszki, jakie zgromadziły się na dnie każdej z nich, do oddzielnych plastikowych torebek. Wzięto próbkę wódki z butelki i dna kieliszka.

Fotograf utrwalił pozycję zwłok z każdej strony na taśmie „ORWO”.

Wrócił przewodnik z psem, który doszedł do przystanku PKS-u, jadącego do Kościeliskiej, i tam zgubił trop.

W jednym z pokoi gmachu Komendy MO w Zakopanem kapitan Szarecki przesłuchiwał świadków, sąsiadów Szymona Wrzosa.

— Mieszkam w sąsiednim domu — mówił Daniel Badura — i często widywa-eäs Wrzosa, jak na swoim wózku wyruszał do miasta. Rozpytywał w okolicy, kto ma wolny pokój, potem jechał na dworzec PKS-u i wręczał przyjezdnym, po-szukującym kwatery, adresy napisane na karteczkach. Nie mógł towarzyszyć im na miejsce, bo z wózkiem trudno mu było wsiąść do dorożki, więc inkasował prowizję od gospodarzy, jeśli gość na pokój reflektował.

— Co to był za człowiek, ten Wrzos, znał go pan bliżej? Zwierzał się może kiedyś panu ze swoich spraw?

— Nie, nie był gadatliwy. Raczej mruk. Przyjechał tu z Kielc, gdzie był w jakimś przedsiębiorstwie kontrolerem czy czymś takim, ale o tamtych czasach mówił niechętnie, jakby z jakimś żalem do losu czy do kogoś. Wiem tylko, że niedługo przed pójściem na emeryturę miał wypadek, skrzynia w magazynie go przygniotła i stracił władzę w nogach.

— Niech pan sobie przypomni, panie Badura, czy w ostatnich czasach odwiedzał ktoś zabitego?

— Jego w ogóle nikt nie odwiedzał, panie kapitanie — zapewnił świadek. —

Nigdy nie widziałem, żeby ktoś wchodził do tego mieszkania. Widocznie Wrzos nie był gościnny.

— Może jednak coś rzuciło się panu w oczy w związku z jego osobą? Nie widział go pan rozmawiającego z kimś obcym?

Badura namyślał się.

— Nie. Nie widziałem z nikim takim.

Następnym był Piotr Siwek, również sąsiad Wrzosa.

— Jak długo znał pan Wrzosa? — zaczął Szarecki.

— Tyle, ile on tu mieszkał na Kaspru- siach. Ale „znał”, to za dużo powiedziałe-ne. Parę razy z nim uciałem pogawędkę, nigdy nie dowiedziałem się nic ciekawego. Ot, takie gadanie. Jaka pogoda będzie, kiedy turyści się zjadą, kiedy jest ich mniej, kiedy więcej...

— Z pana okna widać było dom Wrzosa dokładnie.

— Tak.

— Widział pan, kto go odwiedzał?

— Nie. Nigdy. Jego chyba nikt nie odwiedzał, panie władzo.

— Czy to możliwe? — dziwił się kapitan. — Mieszkał tu cztery lata i nikt u niego nie był?

— Nie wiem, ale ja nigdy nikogo nie widziałem. Żadnych ludzi, za wyjątkiem tego, co sprawdza liczniki elektryczne. Aha, listonosz przychodził raz na miesiąc z rentą, to wiem...

— Czy w okolicy kręcił się tu ostatnio ktoś obcy?

—

Żeby tak specjalnie kogoś obcego widział, to nie.

— Zmarły miał jakąś rodzinę?

—

Coś mi się obilo o uszy, że w Kielcach mieszka wdowa po bracie Wrzosa z synem. Ten brat zginął w wypadku, samochód go przejechał.

—
Nie odwiedzali go nigdy? — spytał kapitan i nagle przyszło mu do głowy, że musiał już tego świadka przedtem gdzieś widzieć.

— Nie. Nie zauważyłem.

— Ani bratowa, ani ten siostrzeniec?

— Nie.

—
Czy wczoraj wieczorem paliło się światło w jego pokoju? Jak długo?

— Pewnie się paliło, tak dokładnie to nie wiem... Jak długo, nie wiem tym bardziej, bo ja chodzę spać wcześniej, około dziewiątej, rano się budzę... Co do światła, to zaobserwowałem, że nieboszczyk często siedział wieczorem w domu i światła nie palił, bo latarnia z ulicy oświetlała jego pokój. Może oszczędny był?

— Czy zmienił ostatnio tryb życia?

— Nie zauważyłem...

—
Spostrzegł pan może w jego zachowaniu coś niezwykłego?

— Nie, nic takiego...

— Pił wódkę ten Wrzos?

—
Także nie zaobserwowałem, żeby specjalnie pił.

— Wśród ludzi uchodził za zamożnego?

— Nie, na bogatego nie wyglądał.

— To byłoby tyle na razie.

Świadek Piotr Siwek uklonił się, kapitan podpisał mu przepustkę. Znów twarz Siwka wydała mu się znajoma.

Szarecki schował papiery do biurka, wyszedł na korytarz, zajrzał do pokoju Dudziaka.

—
Ruszyłeś z miejsca? — zagadnął porucznik.

—
Ani o milimetr. Prawie cztery godziny spędziłem w PKS-ie. Przepytałem konduktorów z wieczornych autobusów, które odchodziły w kierunku Kościeliskiej i Jabłonki. Był mały ruch, nikogo rzucającego się w oczy nie zapamiętali. Wiesz, co sobie pomyślałem? Morderca nie musiał wcale wsiadać do autobusu ani

nawet stać i czekać na przystanku. Mógł ukryć się za zamkniętym kioskiem „Ru-chu” czy gdzieś wśród zabudowań, potem wskoczyć, uczepić się z tyłu drabinki i przejechać tak kilkaset metrów, później zeskoczyć. W ciemności nikt by go nie zobaczył. To wystarczyło, żeby pies zgubił ślad.

— Bardzo możliwe. Świadkowie nic nie zauważyli?

— Absolutnie nic! Dziwnym facetem był ten Wrzos. Z nikim nie żył w przyjaźni. Aż się wierzyć nie chce, ale sąsiedzi mówią, że przez lata, kiedy on tu mieszkał, nikt go nie odwiedzał!

— Rzeczywiście niezwykle — przyznał porucznik. — Gdzie pracował przedtem, zanim zjawił się w Zakopanem?

— Zdażyłem ustalić. Był inspektorem kontroli wewnętrznej w spółdzielni wielobranżowej „Jedność Pracownicza” w Kielcach. Tam też mieszka jego bratowa z synem. Jadę zaraz. Zanocuję w kieleckim „Orbisie”.

— Myślałem, że wpadniesz do mnie wieczorem, mam butelkę koniaku...

— Staraj się przechować go w stanie nienaruszonym do mego powrotu. Cześć!

Kapitan wyszedł, zaś porucznik oddał się rozważaniom na temat splotów przypadków, które przybierają formę prawa serii. Przez dwa lata siedział w tym mieście i poza bójkami na weselu i jednej próbie zabójstwa z zazdrości nic nie wydarzyło się szczególnie tajemniczego, a teraz w ciągu pięciu dni aż dwa zagadkowe morderstwa...

Zameldował się sierżant Książek.

— Tyle czasu szukałem pana porucznika, a pan podobno zdradził naszą sprawę dla innego przestępcy?

— Asystowałem przy oględzinach, jakie wiadomości z Bukowiny?

— Więc ten Czarny Stach, a właściwie Stanisław Wańtuła od dawna podejrzany jest o handel walutą. Na razie miał tylko jedną sprawę o przemyt.

Piątek był u niego trzeciego sierpnia, przed południem, z dwoma cudzoziemcami.

— Tego się spodziewałem. Układa się wszystko nieźle w całość, ale do naszej sprawy nie pasuje.

— Właśnie. Dzwonili z komendy w Gdańsku. Jest wywiad środowiskowy o Zdzisławie Piątku: widywany przeważnie w towarzystwie zagranicznych marynarzy i cinkciarzy, bardzo zaprzyjaźniony z kilkoma panienkami z MOC-u...

— Co to jest MOC? — zainteresował się Dudziak.

— Pan porucznik nie wie? „Miłosna Obsługa Cudzoziemców”!

W Spółdzielni Wielobranżowej „Jedność Pracownicza” kapitan przyjęty został przez wiceprezesa. Wiele zmieniło się tu w ciągu ostatnich lat, wybrano nowy zarząd, a prezes i jego zastępca pełnili swoją funkcję zaledwie od roku.

— Trudno mi będzie panu w czymś pomóc — wyraził swój żal wiceprezes — prawie wszyscy jesteśmy tu od niedawna, a z czasów, kiedy pracował Wrzos, został tylko Biernacki, kierownik działu kadr. Wtedy był pracownikiem tego działu.

Wezwano Biernackiego, a wiceprezes oddał kapitanowi do dyspozycji swój gabinet.

— Jaką opinię miał inspektor Wrzos? — powtórzył pytanie Szareckiego kadrowiec.

— Chyba nie popełnię błędu, jeśli powiem, że dobrą, przynajmniej do wybuchu sprawy Wolickiego.

— Co to była za sprawa? Co Wrzos miał z nią wspólnego?

— W czasie kontroli ksiąg, prowadzonych przez Wolickiego. Wrzos wykrył ja kieś poważne niedokładności, przerobione cyfry w kartach magazynowych czy coś podobnego. Podobno fałszerstwa, dokonane przez Wolickiego, naraziły spółdzielnię na straty w wysokości kilkunastu tysięcy

złotych. Na rozprawie Wolicki tłumaczył się, że nadużyć dokonał ze względu na przewlekłą chorobę żony, dla której musiał kupować zagraniczne lekarstwa.

Zresztą jego żona wkrótce potem umarła. Nie to było jednak interesujące. Wolicki zeznał, że Wrzos namawiał go do zagarnięcia dużo większych sum i dzielenia się z nim, na co ten nie przystał. Oskarżony nie miał na to jednak żadnego dowodu, a Wrzos twierdził, że po prostu Wolicki chce zemścić się na nim za wykrycie nadużyć. Wolicki wyrażał przekonanie, że jego poprzednik, zmarły dwa lata przed rozprawą księgowy Komaszewicz, dokonywał oszustw na szerszą skalę i dzielił się z zarządem spółdzielni, on zaś, odmawiając przystąpienia do gangu, stał się niewygodny i postanowiono go wykończyć. Po tych zeznaniach wybuchł skandal, prokuratura wszczęła dochodzenie przeciwko kierownictwu spółdzielni, ale jednocześnie wydarzyły się wypadki, które uniemożliwiły zbadanie sprawy: prezes umarł nagle na raka, rozstając się z tym światem i jego sprawami, zaś wiceprezes i kierownik działu zbytu zwali za granicę i rozplynieili się bez śladu. Ponieważ Wrzos uporczywie zaprzeczał wszystkiemu, dochodzenie nie przyniosło żadnych konkretnych materiałów i trzeba je było umorzyć. Wolicki w swojej sprawie dostał

dwa lata więzienia, a Wrzosa przeniesiono na emeryturę. Przedtem jeszcze uległ wypadkowi. Jakaś skrzynia przygniotła go w magazynie i sparaliżowało mu nogi. Chodziły plotki, że był to akt zemsty, ale kto miał go dokonać, tego nie wiedziano.

— Czy było przeprowadzane śledztwo w sprawie wypadku Wrzosa?

— Tak, doszło nawet do rozprawy przeciw magazynierowi. Uznano, że miał miejsce nieszczęśliwy wypadek, magazynier dostał rok aresztu za niezachowanie przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy.

— Nie domyśla się pan, dlaczego Wrzos po przejściu na emeryturę wyprowadził się akurat do Zakopanego?

— Mówiono, że kiedyś miał kłopoty z płucami.

— A co się stało z Wolickim?

— Wyszedł z więzienia po roku i czterech miesiącach, skrócono mu karę za dobre sprawowanie. Nie mógł dostać pracy, wreszcie zatrudniliśmy go u nas, w dziale socjalnym.

— Czy mógłby pan go do mnie poprosić?

— Niestety, nie — powiedział personalny. — Wyjechał do Zakopanego na wczasy. Szareckim lekko wstrząsnęło. To było już coś! Nie dał jednak niczego poznać po sobie.

—
Może odwołać go z urlopu, jeśli to coś ważnego? — zaproponował kadrowiec.

—
Nie, nie potrzeba... — podziękował kapitan. — Prosiłbym tylko o adres w Zakopanem.

—
Dom wczasowy „Skalnica”. Będzie tarn do piętnastego sierpnia.

Ze spółdzielni wielobranżowej kapitan udał się na ulicę Radomską. Mieszkała tu Maria Wrzos, bratowa zabitego. Wyjaśnił jej, co się stało.

Nie wydała się zbyt przejęta wiadomością.

— Pani mąż zginął dziesięć lat temu w wypadku?

— Tak — poświadczyła.

—
Czy za życia utrzymywał ze swoim bratem bliższe stosunki rodzinne?

— Nie. Prawie się nie widywali.

— Mieszkaliście w tym samym mieście?

— Tak, tutaj, w Kielcach.

—
I nie odwiedzaliście się? Brat nie bywał u brata?

—
Nie — potwierdziła odwracając głowę.

— Czemu przypisać takie chłodne stosunki?

Milczała długo.

— Może pani mi to wyjaśnić?

—
Mój mąż uważał Szymona za niezbyt... jak by tu powiedzieć... uczciwego — wyjawiała wreszcie niechętnie.

—
Ale konkretnie o co chodziło? — pytał kapitan.

—
Konkretnie nie chciał mi mówić. Teraz tym bardziej się od niego nie do-wiemy.

—
Po śmierci pani męża jego brat nie odwiedzał pani?

—
Nie. Przyjechał tylko na pogrzeb i to wszystko. Wyczuwał, że nie byliśmy do niego przyjaźnie nastawieni.

— Pani go również nie odwiedzała?

— Nie.

— Ani w Kielcach przed wyjazdem, ani w Zakopanem?

— Nie — stanowczo stwierdziła Maria Wrzos.

— A pani syn? Pani ma syna, prawda? Ile ma lat?

— Zenon Wrzos, ma lat siedemnaście. On też nie bywał u swego stryja nigdy.

— Gdzie jest teraz pani syn?

— Na obozie w Chochołowie, pod Zakopanem.

Już drugi raz tego dnia kapitan przeżył pewną emocję.

— Co to za obóz?

— Obóz szkolny dla średnich klas. Pojechał tam jako opiekun dzieci.

Kapitan zamknął notes, pożegnał się i ruszył do miasta. Rano czekały go jeszcze rozmowy w Komendzie Miejskiej i w prokuraturze. Uznał, że spacer -w kierunku hotelu dobrze mu zrobi.

Tu czekały go jednak kłopoty z kolacją. Portier nie chciał wpuścić gościa do restauracji bez wykupienia karty konsumpcyjnej za sto złotych.

— Jest dancing! — tłumaczył surowo.

— Ale ja chciałem tylko zjeść coś szybko. Jestem głodny.

— Nie! — przeciwstawiał się ostro. Wreszcie uległ błaganiom kapitana, ostrzegając jednak: — Wpuszczę pan'a, ale niech pan tylko spróbuje zatańczyć!

W prokuraturze ani w komendzie milicji kapitan nie dowiedział się właściwie niczego rewelacyjnego. Wina Wolickiego była niezaprzeczalna, co zaś tyczyło się jego oskarżeń, wysuwanych pod adresem kierownictwa „Jedności Pracowniczej”, to nie mogły się one potwierdzić wskutek znanych już kapitanowi okoliczności i milczenia Wrzosa. Nikt jednak nie miał wątpliwości, że afery miała miejsce. Może nawet władze śledcze znalazłyby sposób, aby skłonić Szymona Wrzosa do zwierzeń, ale jego wypadek, ciężka choroba i ka-leotwo również w pewnym stopniu stały temu na przeszkodzie.

— Jeśli chce pan znać moje osobiste przekonanie — powiedział Szareckiemu prokurator — to uważam, że Wrzos był wplątany w coś poważniejszego, a uczciwość przynajmniej kilku członków zarządu spółdzielni wiele pozostawiała do życzenia.

— Co pan myśli o wypadku w magazynie?

— Sądzę, że to był naprawdę nieszczęśliwy wypadek. Badaliśmy rzecz grun-townie i nie znaleźliśmy żadnych dowodów, świadczących o czyjejś złej woli.

Szarecki zamyślił się.

— Czy zabójstwo Wrzosa może sięgać swymi krzeniami aż do czasów „Jedności Pracowniczej”? Jakie jest pańskie zdanie na ten temat?

— Założmy na chwilę, że to byłoby możliwe — rzekł prokurator. — Jakie motywy? Zemsta? Wątpię. W środowisku dążącym do „wygospodarowania” dla siebie jak największej ilości pieniędzy, zemsta uważana będzie za postępek nieracjonalny. Zmuszenie do milczenia? Przede wszystkim Wrzos już dawniej nie wykazywał skłonności do gadulstwa, a tym bardziej teraz, kiedy zainteresowanie sprawą przycichło. Zagarnięcie ukrytego przez niego łupu, pochodzącego z dawnych lat, przez kogoś z ówczesnych współników? Teoretycznie najbardziej prawdopodobne, ale obawiam się, że tylko teoretycznie.

— Wrzos uchodził za niezamożnego. Żył nędznie — dodał kapitan. — Musiałby się dobrze maskować.

Może istniał jednak jakiś inny powód jego zlikwidowania, powód, którego prokurator się nie domyślał?

Po drodze do Zakopanego Warszawa Szareckiego o mały włos nie wpadła na sześciolatniego chłopca, który nagle wyjechał na rowerze z bocznej drogi. Rower był duży i malec dosiadał go, wkładając nogę pod ramę.

Kapitan był wściekły. Chętnie złapałby płaczącego ze strachu chłopca, zaprowadził do domu i zbeształ jego rodziców za lekceważenie obowiązku opieki nad dzieckiem i powodowanie niebezpieczeństwa na drodze publicznej, ale nie było na to czasu.

W Zakopanem nie wstąpił już na komendę, tylko prosto pojechał do „Skalnicy”.

Na tarasie pensjonatu grupa wczasowiczów opalała się w słońcu. Ich roznegliżowane, błyszczące od kremu „Sombrero” ciała świadczyły o dobrym apetycie i równie dobrej kuchni na pracowniczych wczasach.

— Czy jest może pan Ignacy Wolicki? — spytał kapitan krzątającej się pokojówki.

— Leży tam na balkonie — odparła.

— Proszę go poprosić. Mam pilny interes.

Po chwili na korytarzu zjawił się starszy, chudy mężczyzna w kąpielówkach.

Białym ręcznikiem frotowym przykrywał spieczony ramiona.

— Pan Ignacy Wolicki?

— Tak.

Szarecki pokazał dyskretnie legitymację służbową.

—

Jestem z milicji. Przepraszam za kłopot, ale byłbym wdzięczny panu, gdyby zechciał pan udzielić mi pewnych informacji.

Wolicki zdenerwował się.

—

Ale o co chodzi? Może to jakaś pomyłka?

— Jeśli tak, to się wyjaśni.

Usiedli na ławce przed domem.

—

Kiedy pan widział po raz ostatni Szymona Wrzosa?

Wolicki spojrział na kapitana zdumionymi, szeroko otwartymi oczami. Może malowało się w nich zdziwienie, może był to przestрах.

—

Jakież to dawne czasy... — rzekł. — Kiedy widziałem Wrzosa? Pan zna moją sprawę, panie majorze?

—

Jestem kapitanem, a pańską sprawę znam. Wyrok: dwa lata.

— Skoro pan kapitan wie wszystko... Więc co do Wrzosa, to spotkałem go po raz ostatni chyba... kiedy zeznawał na mojej rozprawie. Tak, oczywiście, wtedy.

— Nigdy nie spotkał go pan później?

— Nigdy.

—

Czy wiedział pan, że on się przeniósł do Zakopanego?

— Coś mi się obilo o uszy.

—

Będąc tu obecnie nie widział pan go nigdzie?

—

Nie. Jeśli orientuje się pan w mojej sprawie, to chyba pan przyzna, że nie miałem powodu specjalnie szukać jego towarzystwa.

— Zna pan jego adres w Zakopanem?

— Nie.

—

Słyszał pan, czym się obecnie zajmuje?

— Nie, nie słyszałem.

— A o tym, że jest kaleką?

—

Coś słyszałem, ale niedokładnie. Miał jakiś wypadek. Siedziałem wtedy przecież.

— Czy w okresie, kiedy pan go znał, Wrzos uchodził za człowieka zamożnego?

— Nie wydaje mi się. Nic o tym nie wiem.

—

Niech mi pan powie, panie Wolicki, czy Wrzos mógłby mieć do pana jakieś pretensje lub żal?

— On do mnie?

— Może pan do niego?

— Panie kapitanie, ja nie chciałbym wracać do tamtej sprawy. Było, minęło, koniec. Swoje odsiedziałem, teraz pracuję uczciwie, nikt nie ma mnie prawa niepokoić. Co jest właściwie z tym Wrzosem?

— Zmarł nagle.

Wolicki przygryzł wargi.

— Ach, tak... Rozumiem. Kiedy?

— Dwa dni temu.

—

Zmarł... — we wzroku Wolickiego więcej było złości niż współczucia. — Więc jeszcze raz mam mieć kłopoty przez niego...

—

Podczas swego pobytu w Zakopanem Wrzosa pan nie widział — ciągnął dalej kapitan. — Czy mogę wiedzieć, co pan robił wieczorem ósmego sierpnia?

—

Ósmego sierpnia... zaraz sobie przypomnę... To był poniedziałek. Oglądałem teatr telewizyjny, a potem, przed snem, wybrałem się na spacer.

— Sam?

—

Właściwie sam, ale tuż za furtką spotkałem taką panią z sąsiedniego pensjonatu, kilka razy już z nią rozmawiałem na spacerze w Dolinie Białego.

— Zna pan jej nazwisko?

— Nie, wprawdzie przedstawialiśmy się sobie, ale nie dosłyszałem, mogę się jednak dowiedzieć. Ma grube, czarne warkocze... O, panie kapitanie, kiedy wycho-dziliśmy ze „Skalnicy”, ona właśnie przechodziła, taka szczupła, ukloniłem się jej!

— Rzeczywiście — przypomniał sobie kapitan. — Ale czy jest pan pewien, że to ta sama? Nie zauważyłem u niej czarnych warkoczy!

— Ja też nie — przyznał Wolicki. — Musiała je sobie odpiąć!

W komendzie doręczono kapitanowi wynik sekcji zwłok Szymona Wrzosa.

„Na ciele zmarłego dostrzeżono dwie rozległe rany w części tylnej czaszki oraz okolicy skroni, spowodowane uderzeniem narzędzia twardego, o szerokiej, gładkiej powierzchni, być może kamienia. Uderzenie w skroń spowodowało zejście śmiertelne, które nastąpiło ósmego sierpnia około godziny dwudziestej trzeciej”.

Porucznik Jan Dudziak przyszedł do „Krokusa” w momencie, kiedy wczasowicze kończyli właśnie obiad.

— Czy państwo Tobiaszewscy wrócili z wycieczki do Czechosłowacji? — zapytał kierowniczkę.

— Tak, dzisiaj rano.

— Chciałbym mówić z panem Tobia- szewskim.

— Zaraz go poproszę. Jak zwykle mój pokój jest do pańskiej dyspozycji, panie poruczniku.

Tobiaszewski zjawił się. Wyglądał na zaintrygowanego.

— Pan życzy sobie coś ode mnie, poruczniku?

— Nazywa się pan Antoni Tobiaszewski, prawda?

— Tak... — podniecenie wezwanego wzrosło jeszcze bardziej.

— O ile się nie mylę, mówił pan, że nie zna pan i nie widział nigdy Anny Zemanek?

— Tak — potwierdził Tobiaszewski.

— W takim razie proszę mi powiedzieć, czy gdyby wspomniana Anna Zemanek obecna była na wczasach w Krynicy, w pensjonacie „Złocień”, w czasie od pierwszego do piętnastego lutego bieżącego roku, to również nie znałby jej pan ani nie widział?

Tobiaszewski zrobił dziwną minę, a potem uśmiechnął się.

— Nie, również bym jej nie znał ani nie widział.

Tym razem porucznik poczuł się zaskoczony.

— Będąc w tym samym czasie co ona, w tym samym pensjonacie?

— To wypadek bardzo szczególny. Zaraz po przyjeździe, zaledwie rozpakowa-
łem walizkę, dostałem tak wysokiej gorączki, że wezwano do mnie pogotowie.

Zachorowałem na zapalenie płuc i całe dwa tygodnie przeleżałem w szpitalu. Nawet po bagaż nie wróciłem do „Złocienia”, tylko mi go stamtąd przywieziono, a wypisany ze szpitala, prosto pojechałem na stację kolejową. Udał mi się ten urlop, nieprawdaż?...

Porucznik był trochę zły na siebie. Powinien dowiedzieć się tego od kierowniczkii „Złocienia”, ale nie przewidywał przecież tak niecodziennego zbiegu okoliczności.

— Pan porucznik sprawdzi? Jest wszystko w szpitalnych dokumentach.

— W takim razie współczuję, że zmarnował pan urlop.

— Ale sprawdzi pan to, poruczniku?

— Dlaczego panu tak na tym zależy?

— Miałbym wreszcie alibi.

— Po co to panu?

— Moja żona podejrzewa, że nabawiłem się choroby, saneczkując w damskim towarzystwie...

— Pani Jadwiga Wiśniak ma do pana porucznika interes — zakomunikowała kierowniczką, kiedy ten rozstał się z To-
biaszewskim.

— Dobrze, zaraz. Może tymczasem po

wie mi pani, co mówi się w Zakopanem

o Czarneckim? Jaka panuje o nim opinia?

— Doprawdy trudno mi jest odpowiedzieć. Nie ma opinii solidnego człowieka, ale to dotyczy chyba raczej jego znajomości z dziewczętami.

— Nie słyszała pani, by był on w stosunku do dziewczyn agresywny?

— Nie. Nie słyszałam o takim wypadku.

— Dziękuję. Niech pani poprosi panią Wiśniak.

Za chwilę w kancelarii kierowniczkii zjawiała się była współtowarzyszka Anny Zemanek z pokoju wychodzącego na Giewont.

— Wie pan, poruczniku — tak mi jest żal biednej Anny, że bardzo chciałabym panu pomóc w zbadaniu tej sprawy i wykryciu sprawcy, jeśli do jej śmierci ktoś rzeczywiście się przyczynił.

— Słucham panią uważnie.

— Mam pytanie, może nieistotne... Czy lista przedmiotów, stanowiących własność zmarłej, którą sporządzał w swoim czasie pan sierżant akurat w mojej obecności, obejmowała wszystkie rzeczy?

— Chyba tak... A o co pani chodzi?

— Czy wśród przedmiotów, pozostałych po zmarłej, była złota bransoleta?

Początkowo nie miałam pewności, czy powinnam się Wtrącać i mówić o tym z panem porucznikiem...

— Ależ oczywiście! Prosiłem przecież, żeby pani przypomniała sobie każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, związany ze zmarłą. Widziała pani u niej złotą bransoletę? Kiedy?

— Raz jeden. Drugiego sierpnia przy kolacji.

— Jak wyglądała ta bransoleta?

— Miała kształt kółka, grubości małego palca. W kilku miejscach inkrustowana była niebieską emalią. Nigdy takiej nie widziałam i dlatego rzuciła mi się od razu w oczy. Nawet zagadnęłam panią Zemanek, że ma taką ładną rzecz, ale ona nie podtrzymała tego tematu.

— Ostatni raz widziała pani zmarłą przy śniadaniu, trzeciego, w środę. Czy miała bransoletę na rękę?

— Nie. Na pewno jej nie miała.

— Bardzo nam pani pomogła. To istotny

szczeół. Ani przy zmarłej, ani w jej rzeczach nie znaleźliśmy takiej bransolety.

Proszę o tym nikomu nie mówić.

—

Cieszę się, że mogłam się panu przydać — uśmiechnęła się lekko. — Ta okropna sprawa popsuła nam wakacje. Człowiek już nie ma humoru po tym, co się stało... Taka ładna była, myślę o niej ciągle, nieraz nie mogę zasnąć...

—

Ogromnie to przykre, prawda, ale powinna pani też pomyśleć o sobie. Musi pani nabrać sił do pracy.

— Nerwowa się taka zrobiłam... Przepraszam, że pana nudzę, poruczniku.

— Nic podobnego!

— Niedawno o mało serce nie wyskoczyło mi gardłem, tak się przestraszyłam!

— Czego się pani przestraszyła?

—

Jakiegoś człowieka, było ciemno, tu na rogu, koło nas, siedział ukryty za krzakiem, na jakimś wózku...

Porucznik drgnął.

— Na jakim wózku, proszę pani?

—

Na takim chyba, jakim jeżdżą inwalidzi.

— Czy poznałaby pani tego człowieka?

—

Nie. Było ciemno, widziałam tylko sylwetkę i zaraz uciekłam.

— To może okazać się bardzo ważne. Co robił ten człowiek? W jakim kierunku był zwrócony?

—

Jeśli dobrze spostrzegłam, to w kierunku naszego domu, tak jakby obserwował „Krokus” albo czekał na kogoś stamtąd.

— Kiedy to było? Niech pani sobie dokładnie przypomni!

—

To było... w tamtym tygodniu, w czwartek albo w piątek. Nie, w czwartek była „Kobra”. To było w piątek. Piątego sierpnia.

Kapitan Czesław Szarecki w drodze na Chochołowską zatrzymał się w Kirach. Była tu niewielka, prywatna restauracja, urządzona w góralskim stylu. W jadło spisie figurowało również kilka góralskich potraw, z których kapitan wybrał dla siebie kwaśnicę.

Podana w głębokiej miseczce, miała smak żuru zaprawionego sosem z kiszonej kapusty. Pływały w niej kawałki boczku i kartofle. Do regionalnej potrawy dopasowana była sceneria: przy stole, pełnym olbrzymich kufli po piwie, zasnuci niebieskim dymem tytoniowym, siedzieli gazdowie, zawodząc pełną piersią góralskie przyspiewki.

Kapitan myślał o faktach, związanych z zabójstwem Wrzosa, człowieka dziwnego, który zginął w tajemniczych okolicznościach.

Narzędzia mordu na miejscu nie znaleziono. Wszystko przemawiało za tym, że był nim kamień, który zbrodniarz przyniósł ze sobą.

Szymon Wrzos musiał oczekiwać wizyty — świadczył o tym przygotowany na stole poczęstunek.

Wypadki nastąpiły prawdopodobnie bardzo szybko. Morderca wszedł do mieszkania swej ofiary, gospodarz nie zapalił światła, korzystając z oświetlenia pokoju od lampy ulicznej. Gdyby paliło się światło w mieszkaniu, przybysz obawiałby się, że moment zbrodni może być zauważony przez kogoś z zewnątrz, w oknach nie było zasłon ani firanek.

Po krótkiej rozmowie, Wrzos rozlał wódkę do kieliszków i po wypiciu swojego, został uderzony. Morderca zaszedł go pod jakimś pretekstem od tyłu — pierwszy cios pozbawił ofiarę przytomności, drugi był śmiertelny. Sprawca schował kamień do kieszeni i po pospiesznej rewizji mieszkania, opuścił je, nie pozostawiając śladów. Nigdzie nie wykryto ani jednego odcisku linii papilarnych, który należałby do innej osoby poza ofiarą.

Znalazłszy się w ciemnej ulicy, sprawca wykonał odskok z miejsca przestępstwa wsiadając lub czepiając się autobusu, aby zatrzeć ślad, po którym mógłby pójść pies gończy. Chowany w kieszeni kamień wrzucił potem po prostu do potoku.

Kto odnosił korzyści ze śmierci Wrzosa?

Jakie korzyści mogły wchodzić w grę?

Czy powodem zabójstwa była zemsta?

Na razie żadne z tych pytań nie znajdowało odpowiedzi.

Pod Chochołowem kapitan dostrzegł z daleka grupę namiotów, które wypożyczyło młodziży wojsko. Podjechał pod namiot z napisem „Komendant obozu”.

Kapitan poprosił o rozmowę komendanta, którym był młody nauczyciel wychowania fizycznego, i pokazał mu legitymację służbową.

— Czy jest na obozie Zenon Wrzos z Kielc?

Tak, pomaga nam jako wychowawca młodszych roczników.

— Co pan może o nim powiedzieć?

Sympatyczny chłopak, chętny do pracy, zachowuje się bez zarzutu.

— Bywał często w Zakopanem?

Raczej nie. Może raz czy dwa. Mamy sporo zajęć na miejscu, a to kawałek drogi.

—
Czy zna go pan z Kielc, czy poznał dopiero tutaj?

—
Tutaj. Jestem z Radomia. Uczę w tamtejszej szkole. Przepraszam pana, czy on coś zbroił?

—
Potrzeba uzyskania odpowiedzi na te pytania wynika z innej sprawy — odparł kapitan. —
Prowadzicie tu jakiś dziennik zajęć?

—
Tak. Notujemy dokładnie wykonywany program.

— Każdy, opuszczając obóz, melduje się panu?

— Oczywiście.

— Gdzie sypia Wrzos?

—
W namiocie, razem z piętnastoma chłopcami.

—
Po udaniu się wszystkich na spoczynek właściwie mógłby opuścić namiot i wyjść nie zauważony?

—
Nie bardzo. Mamy wartę nocną, która spostrzegłaby go. Jego namiot stoi na otwartej przestrzeni.

—
Kto trzymał wartę ósmego sierpnia wieczorem i w nocy? Może pan mi po-dać?

—
Tego wieczora nikt nie miał tu warty. Cały obóz był na wycieczce, z nocowaniem na Babiej Górze.

— Dziękuję panu. Chciałbym jeszcze porozmawiać z samym chłopcem.

— Wezwano Zenka Wrzosa. Robił rzeczywiście sympatyczne wrażenie.

— Jestem kapitanem milicji — przedstawił się Szarecki. — Muszę ci zadać kilka pytań. Kiedy ostatni raz widziałeś swojego stryja, Szymona Wrzosa?

— Chłopak zastanawiał się.

— Bardzo dawno. Miałem chyba pięć lat. Ledwie go pamiętam.

— Czy twój ojciec widywał go częściej?

— O ile wiem, to nie. Nie utrzymywali ze sobą stosunków jak normalnie w rodzinie.

— A wiesz, dlaczego?

— Nie. Mój ojciec nie mówił na temat stryja. Kiedy umarł, mama też się ze stryjem nie spotykała.

— Z mamą także nie mówiłeś o tym, dlaczego nie bywacie u stryja ani on u was?

— Nie.

—
Czy wiedziałeś, że on mieszka w Zakopanem?

— Wydaje mi się, że kiedyś mama wspominała o tym, ale nie pamiętam na pewno.

—
Będąc w Chochołowie, odwiedziłeś Zakopane?

— Tak. Dwa razy.

— I nie spotkałeś stryja przypadkiem?

— Nie. Ale bym go nie poznał, nawet gdybym spotkał.

— Wiedziałeś, że był inwalidą, -że poruszał się na wózku?

— Nie, nie wiedziałem o tym.

— To wszystko. Dziękuję i cześć! Dobrych wakacji!

—

Czy coś się stało ze stryjem Szymonem? — zapytał chłopak odchodząc.

— Tak. Został zabity.

W komendzie zakopiańskiej czekała na kapitana rewelacja.

Porucznik Dudziak opowiedział mu o człowieku na wózku inwalidzkim, widzianym przed „Krokusem” piątego sierpnia wieczorem.

— Ciekawe... Może nawet bardzo ciekawe — rzekł kapitan.

— Gdyby te dwie sprawy połączyły się, można by mówić o niecodziennym splocie okoliczności — zawyrokował porucznik.

— Takie rzeczy jednak się zdarzają — wtrącił sierżant Książek.

— Sierzancie — zdecydował kapitan — przepytajcie dokładnie przewodników wycieczek, które trzeciego sierpnia były na Giewoncie. Może któryś z nich zauważył coś ciekawego? Pokażcie im fotografię Zemanek, może sobie ją przypomną?

— Tak jest, panie poruczniku! O wykonaniu zamelduję!

Sierżant zapakował raportówkę i wyszedł.

Kiedy zostali sami, Szarecki zauważył:

— Wiesz, Janek, jeśli Wrzos był tym człowiekiem, czatującym przed „Krokusem”, to sprawa rzeczywiście pachnie kryminalną literaturą... Czego szukał przed domem, gdzie mieszkała zamordowana dwa dni przedtem dziewczyna?

— Przede wszystkim musimy przyjąć, że Zemanek została zgładzona.

Dowodem na potwierdzenie tej tezy jest próba z manekinem oraz fakty, przemawiające za wykluczeniem samobójstwa w danych warunkach. Profesor Olbrycht w swym podręczniku medycyny sądowej dowodzi co prawda, że statystycznie biorąc, w wypadku śmierci gwałtownej, najczęściej mamy do czynienia z nieszczęśliwym wypadkiem, druga co do liczebności grupa

— to samobójstwa, a dopiero najmniejszą liczbę przypadków stanowią morderstwa. Jeśli samobójstwo wykluczemy z powodu fizycznej jego niewykonalności, to samo da się powiedzieć o nieszczęśliwym wypadku. Zresztą Zemanek nie robiła wrażenia osoby specjalnie rozmiłowanej w turystyce, a przy tym tak lekkomyślnej, by z własnej inicjatywy znaleźć się w miejscu niebezpiecznym i oddalonym od

szlaku. Do tego musiał ją ktoś namówić, ktoś ją tam przyprowadził i zepchnął ze skały. Moim zdaniem zrobił to ojciec mającego się narodzić dziecka. Anna Zemanek widocznie nie chciała pozbyć się płodu, a to groziło temu człowiekowi życiowymi komplikacjami.

Dudziak skończył swój wywód. Szarecki pokiwał głową:

— Bardzo słuszne rozumowanie. Nic nie można mu zarzucić. Ale jak to się wszystko może łączyć z Wrzosem?

— Nie mam pojęcia — przyznał porucznik. — Trzeba jednak sprecyzować, że nie ze „sprawą Wrzosa”, tylko z nim samym, żywym.

— Właśnie. Jeśli ogóle to on stał przed „Krokusem” piątego sierpnia; założywszy również, że jego obecność nie była zwykłym przypadkiem.

— Jakiż to mógł być przypadek?

— Inwalida jeździł wózkiem o ręcznym napędzie. Powiedzmy, że przejeżdżał tamtędy i zmęczył się kręcąc korbkami. Zatrzymał się, żeby odpocząć.

— To nie zwróciłoby żadnej uwagi świadka, a tym bardziej by jej nie przstraszyło. Jadwiga Wiśniak zeznała, że człowiek na wózku ukryty był za krzakiem.

— Dobrze — rzekł kapitan. — Przyjmijmy hipotezę, że to Wrzos i że jego obecność miała związek ze śmiercią Anny Zemanek.

— Naszym obowiązkiem jest wziąć takie założenie pod uwagę.

— Tak. W każdym wypadku musimy wykluczyć go z kręgu podejrzanych o spowodowanie

śmierci Zemanek. Nie zajechał wózkiem na Giewont.

— Kim był w takim razie? Pomocnikiem? Podżegaczem?

— Też nie. Zabójstwo dziewczyny dokonane zostało z egoistycznych pobudek jednego tylko człowieka. Chyba że pomyliłeś się i czynu nie dokonał mężczyzna

— Sądysz?...

— Nie są ci znane przypadki, że zazdrosna kobieta usuwa rywalkę?

— Rywalkę w poważnym stanie? — porucznik z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— A co?! Właśnie w poważnym stanie! Wie o tym i tym bardziej boi się, że jej mąż czy kochanek rzuci ją dla tamtej. W takim wypadku Wrzos mógł być współnikiem. Zaufanym powiernikiem, przyjacielem, który, powiedzmy, wysłedził miejsce pobytu Zemanek.

— Jej miejscem pobytu był już wówczas Zakład Medycyny Sądowej. Mógł śledzić przedtem. Po co miałby się tam kręcić jeszcze po śmierci dziewczyny? Nie, Czesław, to odpada. Teoretycznie nie można wykluczyć zazdrosnej kobiety jako sprawczyni, ale rola współnika do Wrzosa nie pasuje. Praktycznie nie mogła jednak zrobić tego kobieta — nawet z takich pobudek.

— Dlaczego?

— Jak zwabiłaby Annę Zemanek na Giewont? Jak by się tam sama znalazła i skąd? Żadna z kobiet zamieszkujących „Krokus” nie wchodzi w krąg podejrzeń.

Powiedzmy, że Anna Zemanek ma romans z panem X w Krakowie. Dowiaduje się o tym jego żona i wpada na pomysł pozbycia się rywalki przy pomocy zepchnięcia jej ze skały. Jak może tego dokonać? Śledzi ją? Przyjmujemy przecie, że Zemanek nie poszłaby na Giewont z własnej inicjatywy i nie schodziłaby sama ze szlaku. Jeszcze mniej prawdopodobne, by udała się tam z osobą, której przyjaznych zamiarów nie byłaby pewna. Inny wariant: Zemanek nie znała żony pana X, ta zawarła z nią znajomość niby przypadkiem i namówiła na górską wycieczkę. Czy to uszłoby uwadze mieszkańców „Krokusa”? Wreszcie —

dziewczyny znają żony swych amantów, przynajmniej z widzenia. Nie, zepchnięcie ze skały nie wygląda na czyn w stylu kobiety.

— Wróćmy do Wrzosa — przypomniał kapitan — i zastanówmy się, na co lub na kogo czekał przed „Krokusem”.

— Może mieszkał tam ktoś z jego znajomych?

— Ale jaki byłby powód takiej konspiracji?

— On w ogóle nie zachowywał się zwyczajnie. Sam mówiłeś, że w swym mieszkaniu na Kasprusiach nigdy nikogo nie przyjmował.

—

Poza mordercą — sprostował Szarecki.

—

Czyżby śledził kogoś tamtego wieczoru? Nie. Na to było zbyt ciemno. Wygląda raczej, że był z kimś umówiony. Niewykluczone, że z osobą związaną z jego dawnym życiem albo z aferą w „Jedności Pracowniczej”. Stąd konspiracja.

— To wykluczałoby styczność ze sobą obu morderstw.

—

Bez punktu zaczepienia nie ruszymy z miejsca — rzekł porucznik. — A co z Wolickim?

— Sprawdziłem jego alibi. Spacer z sąsiadką. Miła, zgrabna, dwa grube warkocze.

W rzeczywistości fałszywe.

— Alibi?

— Nie. Warkocze. Przyprawiane.

W wieczornym mroku, na tle jasno oświetlonych okien pensjonatu, odcinały się kontury dwóch ludzkich sylwetek. Pograżeni w ciemności, obserwowali dom, skryci za gałęziami karłowatych sosen.

—
Był w tym miejscu? — spytał jeden z nich.

—
Tutaj wskazała Jadwiga Wiśniak — odparł porucznik Dudziak.

Zza rogu ulicy widniał zarys frontowej i północnej ściany pensjonatu „Krokus”.

— Mógł czekać na kogoś, kto się z nim umówił. Nie chciał, by zobaczyła go inna osoba, przypadkowo wychodząca z „Krokusa”.

Nagle w sąsiednim domu rozbłysło okno, oświetlając postacie porucznika i kapitana.

—
Jeśli krył się w tym miejscu — rzekł kapitan — w każdej chwili mógł zostać zdemaskowany.

Porucznik spojrział w okno.

— To jest łazienka, pomieszczenie nieczęsto używane.

Światło zgasło.

— Przy niezbyt szczelnie lub wcale nie

zaciągniętych zasłonach mógł obserwować, co dzieje się w pensjonacie. Od strony frontowej jest hall, przez który przechodzą wczasowicze, pokój Piątka i Wojteckiego, Tobiaszewskich oraz dziewcząt: Marty Rataj, Jadwigi Wiśniak i Anny Zemanek — objaśnił porucznik.

— Zemanek już nie żyła — uzupełnił kapitan.

Rozjaśnił się pokój od strony północnej.

—
Kierowniczką zapaliła lampę — zauważył porucznik. — Stąd widać również jej pokój.

Kapitan wyjął z kieszeni kopertę. Wręczył ją swemu koledze.

—
Masz tu zdjęcie Wrzosa i bierzmy się do roboty. Pójdiesz z tym do „Krokusa”.

— Nie będziesz mi towarzyszył?

— Mam coś innego na rozkładzie.

Rozstali się. Porucznik skierował swe kroki do pensjonatu.

W hallu siedział Wojtecki i czytał gazetę.

Opalił się bardzo. Twarz koloru czekoladowego kontrastowała z dość ekstrawa-ganckim swetrem w szaro-pomarańczowe pasy.

—
Przerwę panu na chwilę — rzekł porucznik. — Może wstąpimy do pani kierowniczkę?

Wojtecki zmarszczył brwi.

— W czym mógłbym pomóc?

— Niech pan pozwoli...

Kierowniczką „Krokusa” siedziała nad długimi rubrykami sprawozdawczości.

—

Znów pani przeszkadzam — powiedział z ubolewaniem w głosie porucznik.

—
Obliczam wczasowyżywnieniodniówki. Ale już kończę.

— Czy znane jest pani nazwisko Wrzos? Szymon Wrzos?

Halina Gałaj pokręciła głową.

—
Nie. Nie znam żadnego Wrzosa. Rzadko spotykane nazwisko. Chyba się nie mylę.

— A pan? — zwrócił się Dudziak do Ksawerego Wojteckiego.

— Nie. Również nie znam takiego.

Dudziak wyciągnął z kieszeni kopertę,
wyjął z niej zdjęcie i położył na biurku.

— Zna pan może tego człowieka?

Wojtecki przyglądał się fotografii obojętnie.

— Nie. Pierwszy raz go widzę.

Zdjęcie wzięła do rąk kierowniczką.

— Twarz wydaje mi się znajoma...

—
Niech pani sobie przypomni, gdzie go pani widziała.

—
Ba, kiedy nie mogę — rzekła po namyśle. — Zdaje się, że tutaj, w Zakopanem. Nawet chyba na Krupówkach.

— A w pobliżu „Krokusa”?

— Nie, chyba nie.

—
Pan również nie widział go w okolicy „Krokusa”?

—
Nie. Mówiłem, że w ogóle go nie widziałem.

— Dziękuję państwu.

W hallu porucznik zawahał się, po czym zapukał do drzwi Tobiaszewskich. Byli w pokoju. Tobiaszewski czytał, a jego małżonka malowała sobie paznokcie ciemnym lakierem.

—
Przepraszam. Chciałbym zadać państwu kilka pytań.

— Pan porucznik! Więc co jest? Czy coś wiadomo już w sprawie tej dziewczyny? —
zaatakowała Tobiaszewska.

— Na razie niewiele. Prowadzimy śledztwo.

—
Ale dlaczego jeszcze nie ma wyników? Przecież to tragedia, dziewczyna przyjeżdża na urlop i na trzeci dzień już nie żyje! My też wszyscy jesteśmy tym dotknięci! Taka histeria zatruwa atmosferę!
— podniecała się coraz bardziej. —

Przyjechaliśmy tu na wypoczynek, nie na pogrzeb!

Cała tyrada brzmiała co najmniej jak akt oskarżenia przeciwko przedstawicielowi władzy.

Porucznik wytrzymał atak, nie reagując.

—
Czy mówi coś państwu nazwisko Wrzos?

Spojrzeli po sobie.

— Nie. Nie znamy takiego — stwierdził Tobiaszewski.

Wzięli do rąk zdjęcie.

— Nie widziałam nigdy — powiedziała.

— A ja chyba go gdzieś widziałem —
zamyślił się małżonek. — Zdaje się, że na

Krupówkach... Tak, teraz sobie przypominam! Jechał ma wózku inwalidzkim!

—
Kiedy na Krupówkach? — zgromiła go. — Gdzie ja byłam wtedy?

— Spacerowałem trochę — usprawiedliwiał się Tobiaszewski. — Siedziałaś wtedy trzy
godziny u fryzjera...

Porucznik pożegnał się i wyszedł. Nacisnął klamkę pokoju Piątka i Wojteckiego.

Tego ostatniego nie było. Przed lustrem stał Zdzisław Piątek i golił się.

— Pan porucznik? Już kończę!

— Jeszcze się pan gdzieś wybiera?

— Umówiłem się ze znajomymi w „Jędrusiu”. Gra tam właśnie gościnnie „Skar-
żysko Big Band”. To są dosłownie moje ostatnie dni, muszę nabrać sił, zanim rzucę się w wir
pracy. Pan porucznik myśli, że zapomniałem? Cały dzień główkuję, za jaką by się wziąć uczciwą
robotę!

—
Jasne — stwierdził porucznik. — Na panu można polegać. Nie zna pan przypadkiem tego
człowieka?

Piątek przyjrzał się fotografii Wrzosa. Widać było, że jego umysł pracuje z wy-siłkiem.

—
Nie — rzekł wreszcie. — Nie widziałem go.

— Nie słyszał pan nazwiska Wrzos?

— Nie — zaprzeczył tamten.

—
Z Jugosłowianami bywa pan jeszcze na Bukowinie?

— Wie pan co, panie poruczniku, po tamtej naszej rozmowie ja wyczułem, że ci panowie nie są
dla mnie odpowiednim towarzystwem. Bardzo zwracam uwagę na to, z kim zawieram znajomość.

— Słusznie — pochwalił porucznik. — A jak pan w ogóle spędza tu czas?

— Można by powiedzieć, że jako tako... gdyby tamta sprawa nie zwarzyła nastroju.

Zrobił zatroskaną minę. Zawiązał krawat, natarł twarz wodą kolońską „Alibi”, która stała na
szklanej półce pod lustrem.

— Pamięta pan może, jak pan spędził wieczór ósmego?

—
Słucham? — dobre samopoczucie Piątka zostało zmacone. — Którego znów?

— Ósmego. To był poniedziałek.

—
Poniedziałek... — myślał gorączkowo. — Ale pan porucznik mi daje szkołę!

Skąd mogę pamiętać? Poniedziałek... Wiem! Oglądaliśmy teatr w telewizji!

— Kto oglądał?

— Parę osób. Był Wojteeki. Ale nie podobało się nam. Wojteeki miał w walizce pół
litra „Złotej Jesieni”. Potem okazało się nawet, że cały litr. Jezu!... Ale się zaprawiłem!

— A pan Wojteeki?

— Chyba jeszcze bardziej. Mało pija, nie ma wprawy. Ale tak jakoś z nudów... Film mi się urwał. Pamiętam tylko, że Wojtecki budził mnie i mówił, że ma jeszcze pragnienie, ale nie idzie mu bez towarzystwa...

Wojtecki? — zastanawiał się porucznik. — Taki dobrze ułożony, powściągliwy? Nie mógł wyobrazić sobie na przykład siebie, pijącego wódkę z tym żigolakiem.

„Oaza” była niewielkim lokalem, położonym na jednej z przecznic Zamoyskiego. Płonący kominek, stylowe stoły i ławy oraz świece w lichtarzach nadawały wnętrzu intymny charakter.

Siedzący w szatni portier uklonił się wchodzącemu kapitanowi z szacunkiem.

Szarecki zajął mały stolik w kącie. Zamówił porcję kabanosów i kieliszek czerwonego wina.

Po „chwili portier zamknął drzwi szatni, zbliżył się do kapitana i nachylając się lekko, spytał ściszym głosem:

— Czy można na chwilę?

Kapitan skinął głową:

— Niech pan siada, panie Wolak.

Tamten usiadł na brzegu krzesła.

— Upalny mamy sierpień w tym roku...

— Rozmawiał pan z kimś?

—

Mnie dwa razy nie trzeba powtarzać — rzekł Wolak. — Jeśli pan kapitan mnie prosił, to mi wystarczy. Za to, co pan dla mnie zrobił... Codziennie myślę o panu kapitanie, że taką dobrą pracę panu zawdzięczam...

—

Należy pomagać ludziom w kłopotach.

—

Znalazłem się wtedy w tarapatach... Bez pana nic nie mogłem dostać, nie mówiąc już o takiej posiadzie.

— Udało się, możemy się cieszyć. Więc?

—

Tak... — portier mówił cicho. — Gadałem z ludźmi, którzy są raczej zorientowani w terenie. Nikt go nie zna.

— Dewizowcy?

—

Żadnych kontaktów. Nic nie sprzedawał ani nie kupował. Nie słyszeli o takim. W branży przemytników także nie znany.

— Sądzi pan, że by powiedzieli?

—

To się wyczuwa, panie kapitanie. Jak mówią pod chajrem, że obcy, to obcy.

— Hmm... Z niczym nie związany...

—

Panie kapitanie, jak wolność kocham! Wycisnąłem, co tylko się dało. I z tej strony i z tamtej. Nawet z tymi panami od dziewczynek rozmawiałem. I z jednym takim, co zna tych amatorów od igły.

Wolak wykonał ruch, jakby robił sobie zastrzyk.

—

Życzę dalszych sukcesów, panie Wolak.

— Tak jest, panie kapitanie. Może za parę lat otworzę coś własnego.

Portier odszedł do szatni.

Kapitan dopił wino. Zapłacił.

Zbliżała się dwunasta, gdy znalazł się przed hotelem „Świt”, w którym zajmował pokój.

O

ósmej rano, świeży i wypoczęty, uśmiechał się do pielęgniarki w Wydziale Zdrowia:

—

Ileż tu druków! Trzeba mieć zdrowie, żeby się w tym wszystkim połapać!

Pokazał legitymację.

—

Może siostra znajdzie mi kartę Szymona Wrzosa.

Pielęgniarka poszperała w segregatorach i wyciągnęła jakiś papier:

— Ulica Kasprusie?

— Zgadza się. U kogo się leczył?

— U doktora Dolińskiego. To gastrolog.

— Doktor teraz przyjmuje?

— Tak. Już jest chyba.

—

Weźmiemy tę kartę i może siostra zechce mnie zameldować.

Minęła minuta i lekarz przyjął kapitana.

—W tym wypadku tajemnica lekarska pana doktora nie obowiązuje. Na co leczył się Wrzos?

—Dolegliwości gastryczne. Miał odnawiające się wrzody żołądka.

— Ile razy był u pana?

— W Zakopanem ordynuję od dwóch lat. Bywał dość często, niekiedy, czując się lepiej, przerywał leczenie na kilka miesięcy. Zwykle przychodził co dwa tygodnie.

— Kiedy był ostatnio?

—W lipcu. Dokładnie dwudziestego siódmego.

— Jak się czuł, jak wyglądał?

— Skarżył się na lekkie bóle. Nie wydawał się specjalnie schorowany czy wycieńczony.

Zapisałem mu lekarstwa, jak zwykle.

— Nie rzuciło się panu doktorowi w oczy, by był szczególnie podniecony albo zdenerwowany?

— Nie. Nic takiego nie zauważyłem.

— Panie doktorze — mówił kapitan ważąc słowa — lekarz, który ma pacjenta pod stałą opieką, może wiele powiedzieć o nim, może poczynić spostrzeżenia wykraczające poza dziedzinę medyczną.

Zdaniem pana, co to był za człowiek?

— Był?

— Nie doszła do pana wiadomość? On nie żyje. Został zabity.

—Zamordowany?

— Tak. Dlatego proszę o pomoc pana doktora.

— Co to był za człowiek — powtórzył lekarz z namysłem. — Wydawało się, jakby miał żal do świata, do ludzi. Z jego urywanych zdań, powiedzeń można było wywnioskować, że nawet za swoje wrzody żołądka obciąża winą kogoś, jakieś osoby ze swego życia. Nie mówiąc już o kalectwie. Na ten temat nawet ze mną nie chciał mówić. Twierdził, że szkoda gadania, kiedy żaden lekarz nic tu już nie po-radzi. Ale wyczuwało się wyraźnie, że za swoje kalectwo też obwiniał kogoś konkretnego.

—Nie padły nigdy żadne nazwiska?

—Nie.

— Ani coś, co pomogłoby do ustalenia zdarzeń, osób?

— Nie, to były raczej spojrzenia pełne wściekłości, gesty, pomruki złości.

— Podczas jego ostatniej wizyty nic zatem nie zauważył pan doktor niezwykle-go?

— Nie, na pewno.

— Czy robił wrażenie zamożnego?

— Raczej nie. Był kiepsiko ubrany. Powiadał, że nie mógłby sobie pozwolić na lekarstwa, gdyby nie dostawał ich, jako emeryt, za darmo.

— Pan doktor mieszka w Zakopanem?

— Tak.

— Czy Wrzos bywał u pana prywatnie w domu?

— Przyszedł raz po receptę. W aptece nie dostał zapisanego przeze mnie lekarstwa, było zastępcze, na które nie miał recepty, więc wpadł do mnie. Mieszkam blisko apteki na Makuszyńskiego...

— Na Makuszyńskiego? Pod którym?

— Numer pięć.

To była niespodzianka. Dom numer pięć stał akurat za rogiem, koło

„Krokusa”. Pod nim właśnie, na porośłym sosnami narożnym placyku, zobaczyła Jadwiga Wiśniak człowieka w wózku.

— Nie był u pana przypadkiem piątego?

— Nie. Zresztą piątego sierpnia nie było mnie w domu. Wróciłem dopiero w nocy z Krakowa.

Mógł więc nie zastać doktora w domu i czekać na jego powrót — pomyślał kapitan. — W takim wypadku wszystko byłoby zwykłe, proste i jasne.

—W PTTK ustaliłem listę przewodników wycieczek, które trzeciego sierpnia poszły na Giewont — raportował porucznikowi sierżant Książek. — Wypytałem większość z nich, a także sporo uczestników tych wycieczek, pokazując zdjęcie Anny Zemanek. Tylko dwie dziewczyny, które brały udział w zdobywaniu szczytu, odnosiły wrażenie, że widziały Zemanek wchodzącą samotnie na górę. Jednej osobie wydawało się, że widziała dziewczynę podobną do tej na fotografii, jak schodziła w dół. Pytałem wszystkich, czy tego dnia w ogóle coś szczególnego nie rzuciło im się w oczy. Otóż przewodnik Wróblewski, prowadzący na Giewont wczasowiczów z „Hutnika”, zauważył, że tego dnia po raz pierwszy widział w gó-

—rach naszego znajomego, który normalnie uprawia taternictwo nizinne, na Krupówkach — Wojciecha Czarneckiego.

— Bardzo interesujące — stwierdził porucznik.

— Wróblewski spotkał go schodzącego w dół mniej więcej pół godziny drogi powyżej schroniska na Hali Kondratowej — uzupełnił sierżant.

— Mam ochotę odwiedzić samotnego turystę. Wybiorę się na Bystre.

— Przygotować samochód?

— Ostatnio nie robię suchej zaprawy, nie trenuję biegów ani nawet nie chodzę. Spacer dobrze mi robi.

Koło komisju gromadził się już tłum, choć sklep był jeszcze zamknięty. Jacyś dwaj mężczyźni o oliwkowej cerze budzili zainteresowanie zawartością swoich toreb podróżnych.

Przed „Cocktailem” stała kolejka po włoskie lody.

Z „Hyrnego” wychodziły wczasowiczki, połyskując w słońcu lśniącym fioletem lakierowanych fryzur. Na ich powiekach ciemniał granat pracowicie nałożonej farby.

Przed ZAIKS-em stał sznur zagranicznych samochodów. Niektóre miały na karoserii napis „brudas”, inne powyrywane anteny i połamane lusterka.

Z góry sunęła grupa biegaczek na treningowych nartach, zaopatrzonych w kół-

—ka. Pod skocznia porucznik stał się świadkiem ciekawej sceny: młody człowiek ciągnął za rękę mocno opierającą się dziewczynę w kierunku czerwonej Skody.

— Nie pojedę nigdzie! — wołała.

— Nie wypada stosować przymusu wobec dam — zainterweniował porucznik.

— Ach, to pan... — rzekł speszony Czarnecki, puszczając dziewczynę. — Mam zaszczyt przedstawić moją narzeczoną!

— Skończmy już z tym — powiedziała, wyraźnie zniecierpliwiona. — Spiesz mi się. Dziękuję — rzuciła w kierunku swego wybawcy i odeszła.

— Iwona, daj spokój! — zawołał Czarnecki.

Ale Iwona nie zareagowała.

— Poważnie, to moja narzeczona — zapewniał. — Ostatnio dla mnie niełaskawa.

— Nie udała się panu przejażdżka z damą — powiedział porucznik. — Może mnie pan przewiezie?

— Chętnie — mruknął tamten. Nie było po nim widać entuzjazmu. Kiedy już siedzieli w samochodzie, spytał:

— Dokąd?

— Do komendy.

Podczas drogi panowało denerwujące milczenie. Dopiero kiedy znaleźli się w pokoju porucznika, ten zaczął:

— Prosiłem już, żeby pan sobie przypomniał, co pan robił trzeciego sierpnia przed południem. Radzę dobrze się zastanowić.

— Trzeciego sierpnia... co ja mogłem robić... — Czarnecki pochylił głowę i zasłonił oczy dłonią, jakby ułatwiając sobie skupienie. — Może nie wychodziłem z domu?

— Ostatecznie, jeśli nie będzie pan mógł sięgnąć pamięcią — rzekł, akcentując słowa oficer — ja panu pomogę. Jednak lepiej, żeby pan doszedł do tego samodzielnie.

Czarnecki doznał nagle olśnienia.

— Wiem! Byłem w górach!

— Gdzie?

— Poszedłem w kierunku Giewontu, ale się wróciłem.

— Sam?

— To było tak, panie poruczniku. Powiem wszystko dokładnie. Ta panienska pod skocznia to naprawdę moja dziewczyna. Nazywa się Iwona Szczęsna, mieszka na Bystrem. Wtedy właśnie, to była środa, umówiliśmy się, że pójdziemy razem na spacer w góry. Ja specjalnie dotychczas za tym nie przepadałem, ale tym razem chciałem mieć warunki, żeby z nią

na serio pogadać. Ona mi się ostatnio urywała. Z takim, spotykała się, jednym facetem z Krakowa, niby jej kuzynem. On ma żółte BMW. Umówiliśmy się o dziewiątej rano na Rondzie, a ona przyjechała z tamtym samochodem i powiedziała mi, że nagle jej coś wypadło i kuzyn podwiezie ją do Krakowa. We mnie aż zaki-piało, ale zanim się odezwałem, oni szpula i zniknęli z oczu. Może nawet mnie nie tyle na tej dziewczynie zależy, ale, pan porucznik rozumie, ambicja, takie numery u mnie nie przechodziły. Nie mogłem po prostu ochłonąć. Więc żeby wrócić do równowagi, poszedłem sam w kierunku Kondratowej, a potem wyżej. Ale nie dochodząc do przełęczy straciłem oddech i zawróciłem. I wie pan porucznik co? Pomogło. Uspokoilem się jakoś.

— Dlaczego pan nie przypomniał sobie tej historii za pierwszym razem?

Zapanowała kłopotliwa cisza.

— Tak od razu nie wpadło mi do głowy, że to było wtedy.

— Nie wpadło panu? Naprawdę?

— Panie poruczniku... Co będziemy owijać w bawełnę. Jak mogłem powiedzieć? Pokazuje mi pan fotografię dziewczyny, ja jej nie znam, pierwszy raz widzę, ale wiem, że z nią stało się coś nie-klawego. Ktoś mnie widział, że do niej zagadywałem, co jest prawdopodobne, bo ja większość przechodzących zagaduję.

Potem okazuje się, że ona nie żyje. Co ja w tych warunkach mam zeznawać?

— Prawdę.

— Dobrze panu mówić. Mnie włosy sta-nęły na głowie, jak ja się potem dowiedziałem, że tamta została znaleziona nieżywa pod Giewontem. Czułem się już osądzony i skazany. Kto mi uwierzy, kiedy tak się wszystko składa, tak pasuje: zawarł z dziewczyną znajomość, potem zabrał w góry w wiadomych zamiarach, zaczęli się szamotać, on ją zrzucił ze skały. Kto by się tam zastanawiał nad faktem, że ja normalnie nigdy w góry nie chodzę, a tym bardziej w celach erotycznych, bo do tego mam własne mieszkanie. Ale dzisiaj myślę sobie, raz kozie śmierć, powiem, niech się dzieje, co chce.

— A co się ma dziać? — spytał porucznik.

—

To jasne. Zatrzymanie, akt oskarżenia. Naleganie, żebym się przyznał. Przecież ja wiem, jak to

jest. Dla milicji jest ważne, kto ją znał, kogo widziano w pobliżu miejsca przestępstwa, kto widział ofiarę ostatni. Organa śledcze mają za mało czasu, a za dużo spraw, żeby dociekać wszystkiego dokładnie. Jest jeden podejrzany, to po co szukać następnego?

—
Myli się pan. I czas znajdujemy, i jeden podejrzany nam nie wystarczy.

Niech pan idzie do domu.

Czarnecki zrobił minę, jakby powiedziano mu, że wygrał milion w Toto-Lotka bez wypełniania kuponu.

Kapitan Szarecki odwiedził gmach zakopiańskiej poczty. Poprosił, żeby skon-taktowano go z listonoszem, obsługującym rejon ulicy Kasprusie. Był nim starszy, siwy mężczyzna.

—

Od ilu lat roznosi pan listy w tym rejonie?

—

Będzie już dwanaście lat. Przedtem miałem Parcele Urzędnicze, ale tu bliżej domu.

— Pamięta pan Szymona Wrzosa?

—

Tak. Zanoszę mu rentę od początku, jak się tu sprowadził.

—

Tylko rentę? — zapytał kapitan. — Czy nigdy nie było do niego listów?

—

Wie pan — przyznał listonosz — jak się tak teraz zastanawiam, to aż dziwne, ale chyba nie było. Nie pamiętam żadnego listu.

—

O której przychodził pan do niego zazwyczaj?

—

Mniej więcej o dziesiątej przed południem.

— Ósmego było coś do niego?

—

Nie. Pieniądze przychodzą drugiego albo trzeciego każdego miesiąca.

— Ale tego dnia przechodził pan tam

tędy? Zauważył pan, czy Wrzos był w domu?

— Ósmego — myślał. — To był poniedziałek. Nie widziałem go.

— A może spostrzegł pan w pobliżu domu kogoś innego? Obcego?

— Nie.. Nikt nie wpadł mi w oko.

— Czy Wrzos rozmawiał kiedyś z panem?

— Na ogół był mrukliwy. Ale kiedyś, gdy mu wspomniałem, że pieniądze nie-spodziewanie przyszły dwa dni wcześniej, on machnął pogardliwie ręką i powiedział: „O czym tu gadać. Żeby choć dziesięć razy tyle!” Nie był sympatyczny. Na-piwku dawał mnie siedemdziesiąt, osiemdziesiąt groszy — albo wcale.

— Kiedy był pan u niego ostatnio, nic nie zauważył pan szczególnego w jego zachowaniu?

— Nic specjalnego.

— Może coś w mieszkaniu?

— Nie zapraszał mnie do mieszkania. Przyjmował w korytarzu.

— To wszystko, dziękuję.

Z poczty udał się kapitan w stronę domu Szymona Wrzosa.

Z drzwi zerwał pieczęcie ze stemplem Komendy Milicji w Zakopanem i wszedł do środka.

Pod ścianami leżały sterty starych gazet, puste słoiki, butelki. Wszystko było tu zakurzone, brudne, porozrzucane. Na środku, obok stołu i krzeseł stał, jak przedtem, zniszczony fotel inwalidzki. Kierownicę stanowiło kółko pionowe z umieszczonymi po obu stronach korbkami. Od kółka biegł w

dół łańcuch rowerowy, napędzający tryb na przednim kole.

Na blacie stołu obrysowano kredą głowę i ramiona zabitego.

Mamy już telewizory — pomyślał kapitan. — Mamy noktowizory. Przydałby się przyrząd do patrzenia w przeszłość. Jak wyglądało to miejsce w dniu ósmym sierpnia około godziny dwudziestej trzeciej? Co się tu zdarzyło?

Zastanawiał Szareckiego stan majątkowy zamordowanego. Czy nie miał on rzeczywiście niczego cennego? Jeśli prawdą było, że swego czasu brał udział w ciemnych machinacjach na terenie „Jedności

Pracowniczej”, to gdzie podziały się tego efekty? Ponieważ nikt nie bywał u Wrzosa, niemożliwością było ustalenie, czy coś stąd zginęło. Czy próbowano coś ukraść?

Faktem jest, że morderca czegoś gorączkowo szukał. Czy jednak znalazł? W

każdym razie nie pozostawił niczego wartościowego. Również żadnego śladu po sobie.

Któryś już raz z rzędu kapitan przejrzał szafę z wiszącymi w niej kilkoma sztukami garderoby, półkę, na której leżał ręcznik, dwie używane koszule, jakiś szalik, wytarty krawat, chustka do nosa. Na dole szafy były dwie szuflady. W górnej stare półbuty leżały obok zeszlórocznego kalendarza ściennego, połamany ołó-

wek, przepalona żarówka, świeca, jakieś śrubki, gwoździe, kłębki sznurka. W dolnej tkwił zniszczony skafander narciarski, kilka blaszanych łyżek i widełcy, torba cukru, pudełko kawy „Marago”, trzy pary skarpetek, okulary słoneczne, pastylki na żołądek „Idalbina”, sweter wełniany koloru szarego.

Z leżącej obok otwartej walizki wysypywały się: torba makaronu, zatłuszczone karty do gry, dwie koszulki „polo”, latarka elektryczna, sznurowadła. Wewnątrz leżały stare numery „Przekroju”, dwie pary kalesonów, pasek do spodni, krawat, lusterko, torebka cukierków miętowych.

Nic nie mówiły te przedmioty, o niczym, poza brakiem zamożności i zamiłowania do porządku właściciela, nie świadczył ich zestaw.

Kapitan jeszcze raz zlustrował ściany, podłogę, sufit. Przebiegała po nim belka drewniana, popękana, ciemna ze starości, pokryta szarym pyłem kurzu i sadzy.

Nagle padające z okna światło słoneczne wydobyło z bocznej powierzchni belki kontur o odmiennej fakturze: niewielki kwadrat, jakby łątka. Kwadrat ten, w odróżnieniu od reszty, był czysty, wolny od kurzu.

Kapitan wyjął scyzoryk i podważył jeden z boków kwadratu. Kawalek drzewa poruszył się.

Po kilku dotknięciach ostrzem scyzoryka, drewniany kwadrat dał się usunąć z belki, odsłaniając niewielki sześcioboczny schowek.

Tkwił w nim zwitek banknotów i bransoletka.

Banknotów naliczył kapitan dziesięć po pięćset złotych. Bransoletka była złotym kółkiem grubości małego palca, w kilku miejscach inkrustowanym niebieską emalią.

Szarecki schował znalezione w skrytce przedmioty do kieszeni, zamknął drzwi, nalepił na nie nowe paski ze stemplami

i niemal biegiem pośpieszył na posterunek.

Zastał Dudziaka w jego pokoju.

— Co ci to mówi? — pokazał bransoletkę. — Znalazłem w schowku u zamordowanego Wrzosa.

— Wygląda jak opisana przez Jadwigę Wiśniak — rzekł porucznik. — Ta, którą miała na ręku Anna Zemanek w przededniu swojej śmierci. Skąd ją masz?

Kapitan opowiedział o swoim odkryciu.

Mocno poruszeni wskoczyli do samochodu. Za chwilę wysiadali przed „Krokusem”.

— Pan kapitan i ja — oświadczył porucznik Jadwidze Wiśniak — chcemy pani coś pokazać.

Czy widziała pani to już kiedyś?

Dziewczyna tylko rzuciła okiem na bransoletkę.

— Tak. Miała ją na ręku Anna Zemanek drugiego sierpnia podczas kolacji.

Porucznik czekał w hallu „Krokusa” na kierowniczkę. Z pokoju wyszedł Wojtecki. Był w koszuli, swój szaro-pomarańczowy sweter trzymał w ręku.

— Wybiera się pan gdzieś? — zagadnął go porucznik.

— Tak, idę na Gąsienicową, ale jeśli jestem potrzebny...

— Nie będę pana zatrzymywał, tylko tak przy okazji chciałem zapytać, czy nie widział pan u kogoś tego cacka?

Wyjął z kieszeni bransoletkę i podał Wojteckiemu. Ten obejrzał ją dokładnie.

— Ładna sztuika... Ale nigdy takiej nie widziałem. Na pewno nie.

Dziękują — porucznik schował złoty przedmiot. — Jak udały się wczasy?

— Nieźle... Szkoda, że już się kończą.

Na towarzystwo w pokoju pan nie narzeka?

Nie. Piątek to spokojny chłopak. Zresztą rzadko siedzi w domu — zakończył Wojtecki. Skinął ręką i ruszył do wyjścia.

Wkrótce ukazała się kierowniczka z szarą walizeczką w ręku.

Ciągle coś nowego, poruczniku — powiedziała. — Chwili odpoczynku nie mam, po to, żeby inni mogli odpoczywać. Jutro wieczorek pożegnalny. Nasz magnetofon się zepsuł, musiałam pożyczyć w „Szarotce”.

— Będą goście z innych pensjonatów?

— Każdy może przyprowadzić, kogo chce. Ale, wie pan, nie ma nastroju do tańców. Zamówiłam Burcyna.

— Kto to jest?

Gawędziarz góralski. Opowiada takie historie z dawnych czasów, różne anegdoty. Czy mogę panu porucznikowi czymś służyć? Bo zaraz muszę wydać jaj-ka i mąkę na ciasto.

Tylko drobiazg — rzekł. — Czy nie widziała pani u kogo tego przedmiotu?

Podał jej bransoletkę. Kierowniczka przez dłuższą chwilę oglądała ją ze wszystkich stron.

Chyba gdzieś taką widziałam... albo podobną...

— U kogo? — zainteresował się porucznik.

— Jeśli się nie mylę, to w komisie u „Jubilera” W Krakowie. W każdym razie podobna leżała na wystawie.

— Na pewno nie widziała jej pani w „Krokusie”?

— Nie. Z pewnością nie.

Przez hall przeszedł Piątek. Nie spostrzegł porucznika.

— Proszę pana! Spiesz się pan bardzo?

— Słucham? O, dzień dobry panu porucznikowi!

Mam jedno pytanie. To nie potrwa długo, więc jeśli umówił się pan na randkę, spotkanie nie ucieknie.

—

Ale pan porucznik wszystko wie... Taka blondyna z „Szarotki”. Muszę mieć towarzystwo na jutrzejszy wieczorek pożegnalny.

Porucznik wyciągnął w jego kierunku bransoletkę.

— Nie widział pan tego gdzieś?

— Fiuu... — gwizdnął młodzieniec. — Niezły kawałek. Osiemnastka, inkrustowana emalią.

— Spotkał się pan już z tym?

— Gdzieś mi to przed oczami mignęło. Takie bransoletki przywozili turyści z Egiptu. Tam wypadło jakieś cztery kawałki, tu można było dostać dychę. Prawie pół wycieczki się zwracało.

— Pytam, czy widział pan to u kogoś?

—

Konkretnie, nie pamiętam... Gdzie miałem widzieć?

—

Interesuje mnie, czy spotkał się pan z tą bransoletką tu, w „Krokusie”?

—

A nie, na pewno nie. Coś podobnego mignęło mi przed oczami, ale na Wy-brzeżu, parę lat temu.

— Niech pan się nie spóźni na randkę.

— Już lecę... Pan porucznik to ludzki

człowiek... Taki życzliwy...

Porucznik Dudziak zapukał do pokoju państwa Tobiaszewskich.

— O, jest pan! — zawołała Tobiaszew- ska. — Czy wreszcie już się wyjaśniło?

Samobójstwo? Morderstwo? Czy sprawca ujęty?

—

Chciałbym spytać — przerwał oficer — czy nie widzieli państwo u kogoś tego przedmiotu?

— Moja bransoletka! — krzyknęła.

— Pani? — zdumiał się porucznik.

— Moja, jak Boga kocham!

—

Ależ skąd wiesz, że to twoja? — zaprotestował małżonek. — Przecież twojej nie zabierałaś na wczasy!

—

Właśnie — zirytowała się. — Więc skąd się tu wzięła? Skąd pan ją ma?

— Niech pani się uspokoi, postaramy się wszystko wyjaśnić. Tę bransoletkę znaleziono w Zakopanem.

—

Czyżby okradziono mnie? Złodziej przywiózł ją do Zakopanego?

— Przecież niemożliwe, żeby nas okradziono — stwierdził Tobiaszewski. —

Godzinę temu rozmawiałaś przez telefon z Helenką, musiałyby coś powiedzieć...

—

Helenka to nasza dochodząca — wyjaśniła. — Pilnuje nam mieszkania podczas naszej nieobecności.

— Zatem wszystko jest w porządku — wyciągnął wniosek porucznik. — Nic się nie stało pani bransoletce, bo wynika z tego, że pani ma po prostu w domu taką samą.

— Trochę się uspokoiłam...

— Widzisz!

—

Ja natomiast pytałem — kontynuował — czy ktoś z państwa nie widział takiej bransoletki u jakiejś osoby w „Krokusie”?

— Nie — zapewnił Tobiaszewski.

— Nie. Zaraz rzuciłoby mi się to w oczy — potwierdziła ona.

— O to mi chodziło. Bransoletkę przywieźli państwo z Egiptu? — strześlił porucznik. Oczy Tobiaszewskiej zrobiły się ogromne jak filiżanki.

—

Skąd pan wie, że byliśmy w Egipcie?

Porucznik spuścił wzrok skromnie.

— Wiemy coś niecoś...

— Rzeczywiście przywieźliśmy ją z Egiptu! — zawołał Tobiaszewski. — Bardzo tanie są tam takie rzeczy, dosłownie za grosze.

—

No, powiedzmy — poprawił porucznik — za złote, nie za grosze. Zawsze to około czterech tysięcy wypada.

— Faktycznie, może niecałe cztery...

— Czasem udaje się kupić okazji!

—

Zależy, na jakiego sprzedawcę się trafi.

—

Niektórzy darzą Polaków specjalną sympatią!

— Są nawet tacy, co mówią po polsku!

—

Warto zaoszczędzić, nie wydawać pieniędzy, żeby przywieźć taką pamiątkę!

—

Jeśli złożą się razem kieszonkowe dla dwóch osób... — wyliczał Tobiaszewski. Jednak porucznik nie miał już czasu słuchać. Pod „Krokusem” rozległ się sygnał milicyjnego Fiata. Kapitan dawał znaki ręką.

—

Wszystko wiedzą! — szepnęła Tobiaszewska, kiedy zostali sami.

—

Cóż z tego? — bagatelizował małżonek.

— Ładna historia, ty się pytasz, cóż z tego...

— Nie przesadzaj! — uspokajał ją.

— Wiedział o Egipcie...

—

Czy myśmy to ukrywali? Dokumenty są w „Orbisie”!

—

Trzeba było nic nie mówić o bransoletce!

— Głupstwa opowiadasz!

—

Głupstwa? A jeśli on wie, że sprzedaliśmy tam te dwa kryształowe wazony?

W kierunku Krakowa jechali we trójkę: porucznik Dudziak, kapitan Szarecki i sierżant Książek.

Niecodzienny splot okoliczności przeistoczył się zatem w rzeczywistość — zauważył porucznik. — Obie sprawy mają ze sobą związek. Zazębiły się wyraźnie.

Nie wiadomo — zaproponował kapitan.

— Mogło być tak, że ktoś ukradł bransoletkę Annie Zemanek i zwyczajnie sprzedał ją Wrzosowi, co nie miało nic wspólnego z żadnym z morderstw. Albo: Zemanek gubi bransoletkę, Wrzos ją znajduje, potem przypadkowo zostaje zamordowany.

Wygląda to nieprawdopodobnie — rzekł porucznik.

Inny wariant — ciągnął Szarecki. — Wrzos kradnie bransoletkę Annie Zemanek, co również nie łączy się z żadną ze śmierci.

— Gdzie miałyby okazję ją ukraść?

— Powiedzmy, w jakimś sklepie.

On nie wchodził do sklepów. Sprzedawcy wynosili mu zakupy na ulicę, do wózka, i tam też płacił. Mogło być jeszcze inaczej — tym razem snuł przypuszczenia porucznik. — Ktoś kradnie Annie Zemanek jej bransoletkę. Kiedy dowiaduje się, że ona wie, kto jest złodziejem, w obawie przed zdemaskowaniem spycha ją w przepaść.

— Przeoczyłeś fakt, że była w ciąży.

— Nie. Mogło to z jej śmiercią nie mieć nic wspólnego.

— A jak łączy się z Wrzosem?

— Złodziej sprzedał mu lub dał. Musimy wziąć pod uwagę, że był jego dłużnikiem, może z dawnych lat.

— Wyobraźmy sobie jeszcze inną kombinację: Wrzos przypadkiem spotyka współnika dawnych machinacji finansowych, którego czyny dotychczas pokrywał

milczeniem. Widzi, że tamten jest zamożny, ma pieniądze, podczas gdy on sam stracił wszystko, był oszukany przy podziale łupów albo daremnie czekał na swój udział. Oświadcza współnikowi, że nie ma nic do stracenia i dłużej nie będzie milczał. Zadenuncjuje go. Tamten czuje, że wpadł, nie wie, co robić. Daje mu pięć tysięcy, to jest sumę, jaką znalazłem w skrytce. Wrzos się tym nie zadowala, chce więcej. Szantażowany więcej na razie nie ma. Kradnie Annie Zemanek bransoletkę i daje Wrzosowi albo...

— Albo co? — spytał porucznik, najwidoczniej zaintrygowany taką koncepcją.

— Nie wiemy przecież, czy nie istnieją inne, takie same bransolety!

— Wprost przeciwnie — oznajmił Dudziak. — Wiem na pewno, że istnieją, może nawet jest ich sporo. Piątek opowiadał mi, że ten rodzaj biżuterii przywozili polscy turyści z Egiptu, a jedna z mieszanek „Krokusa” wręcz rozpoznała w tej bransolecie swoją własną.

— Kto to był?

— Żona Tobiaszewskiego.

— Co się okazało wreszcie?

— Że swoją zostawiła w domu. Identyczną. Przywieźli ją z Egiptu.

— Proszę panów — wtrącił milczący dotąd sierżant. — A co będzie, jeśli bransoletka Tobiaszewskiej wcale nie została w domu? Może to jej małżonek zmuszony był tak twierdzić, tymczasem zaś okupił się przy pomocy bransolety Wrzosowi?

— Żeby potem go zamordować? — podsunął porucznik. — Nie wygląda na to.

Wreszcie, gdyby przyjął tę hipotezę,

pozostałaby inna zagadka: co stało się z bransoletką, którą widziano u Zemanek?

— Tylko jedna osoba ją widziała.

— Jadwiga Wiśniak. Nie mamy podstaw jej nie wierzyć.

— Jeszcze jedno — zwrócił uwagę kapitan. — Bransoleta mogła w ogóle nie być własnością Zemanek.

— Tylko czyją?

— Powiedzmy, od kogoś pożyczona. Kobiety chętnie pożyczają różne rzeczy dla uatrakcyjnienia swego wyglądu.

Porucznik pokręcił głową.

— Przecież wszystkich pytałem. Nikt nic nie wie o tej bransolecie.

— Albo ma powody, żeby się do niej nie przyznawać.

— Bujamy w sferze fantazji — rzekł porucznik. — Potrzebne nam są konkrety.

Stale brak śladów, które by gdzieś prowadziły.

Dojeżdżali do Krakowa. Wkrótce zatrzymali się przed komendą.

— Do zobaczenia wieczorem — rzekł kapitan. — Za dwie godziny chcę być w Kielcach, żeby złapać jeszcze Biernackiego w biurze.

Dotychczas prowadził sierżant, teraz za kierownicą usiadł kapitan. Strzałka szybkościomierza prawie przez cały czas oscylowała pomiędzy liczbami sto dwadzieścia i sto trzydzieści.

W „Jedności Pracowniczej” personalny Biernacki nie zakończył jeszcze urzędowania. Kiedy w drzwiach jego pokoju zjawił się kapitan Szarecki, opracowywał właśnie sprawozdanie o fluktuacji kadr.

— Mam znów kilka pytań — powiedział kapitan. Położył na biurku — wy-pożyczone z Biura Dowodów Osobistych

— zdjęcia Piątka, Wojteckiego, Tobiaszewskich, Haliny Gałaj, Anny Zemanek.

Jadwiga Wiśniak i Marta Rataj były zbyt młode, żeby łączyć je z dawną karierą Wrzosa w spółdzielni wielobranżowej.

— Zna pan może którąś z tych osób?

Kadrowiec przyglądał się uważnie.

— Nie. Chyba nie znam. Nie przypominam sobie.

— Nikogo z nich nie widział pan tu, w waszej spółdzielni?

— Nie wydaje mi się.

Porucznik wymienił nazwiska osób na fotografiach.

— Nic panu one nie mówią?

— Nie. Pierwszy raz je słyszę.

— Temu starszemu panu niech pan się uważnie przyjrzy. Na pewno pan go, nie zna?

— Nie.

— I nazwiska „Tobiaszewski” pan nie słyszał?

— Nie.

— Czy nie widział pan nigdy u Wrzosa żadnej biżuterii?

Biernacki zdziwił się.

— Bizuterii? Nie, nie widziałem.

—

A może słyszał pan od kogoś, że Wrzos posiada coś ze złota, na przykład, bransoletkę?

— Nic mi nie wiadomo, żeby posiadał kiedykolwiek jakąś bransoletkę.

Kapitan milczał chwilę, potem wyjął zdjęcie Wojciecha Czarneckiego.

— Może tego widział pan kiedyś?

Kadrowiec zmobilizował swoją uwagę

i nagle krzyknął:

— Tak! Tego chłystka znam, przypominam go sobie!

Kapitan nastawił uszu. Może wreszcie jakaś nitka, po której droga zawiedzie do kłębka?

— Skąd pan go zna?

— Byłem z narzeczoną dwa lata temu w Zakopanem. Odszedłem na chwilę, żeby kupić papierosy, a ten typ niemal siłą usiłował wciągnąć ją do swojego samochodu! Co za bezczelność!

Wciskając mocno pedał gazu, pędził Szarecki w kierunku Krakowa. Coraz bardziej przekonywał się, że służba oficera milicji nie składa się z pasma olśniewających triumfów.

—
Pani pozwoli, że zabiorę jej chwilę czasu — rzekł porucznik, ponownie od-wiedziwszy Natalię Ciołkosz w jej mieszkaniu.

Nauczycielka skinęła głową.

— Widywała pani Annę Zemanek przed wyjazdem do Zakopanego. Spostrzegła pani u niej jakąś biżuterię?

Natalia Ciołkosz zastanawiała się.

— Nie, nie przypominam sobie...

—
Czy w szczególności nie nosiła bransoletki? Złotej bransoletki?

— Nie nosiła — brzmiała odpowiedź.

Porucznik wyciągnął z kieszeni bransoletkę znaną w skrytce Wrzosa.

— Widziała pani to kiedyś?

Nauczycielka oglądała podany jej przedmiot skrupulatnie.

— Pierwszy raz widzę.

Złote kółko powędrowało z powrotem do kieszeni.

— Czy Zemanek nie mówiła pani przypadkiem o otrzymaniu jakiegoś prezentu?

— Prezentu? Od kogo?

— Wszystko jedno, od kogo.

— O niczym takim mi nie wspominała.

—
Czy w ogóle dostawała podarki od kogokolwiek?

— Mówiła o sweterku, który dała jej matka na gwiazdkę.

—
Hmm... — porucznik zbierał się do odejścia. — Nie przypomniała pani sobie czegoś interesującego, co rzucałoby światło na zdarzenie w górach?

—
Nie, panie poruczniku. Wiem o śmierci Anny pod Giewontem. Ale jaka była właściwie jej przyczyna?

Porucznik nie odpowiedział na pytanie. Jakby go nie dosłyszał wskutek zaprząt-nięcia myśli czymś innym.

—
Zadam pani takie teoretyczne pytanie — rzekł wreszcie. — Gdyby okazało się, że Anna Zemanek była w ciąży, czy domyśliłaby się pani, kto mógłby być ojcem dziecka?

Nauczycielka rozłożyła ręce.

—
Nie miałabym najmniejszego pojęcia.

—
A gdybym spytał, kto byłby zdolny ją zabić?

— Nie — powiedziała, wstrząśnięta widocznie. — Też bym nie wiedziała.

Następną rozmówczynią porucznika była Stefania Zemanek.

Kategorycznie stwierdziła, że Anna

przed wyjazdem nie miała okazanej jej złotej bransoletki.

Oświadczyła również z całym naciskiem, że jej córka nie otrzymywała dotąd nigdy żadnych prezentów od nikogo poza swoją matką.

Po rozmowie z panią Zemanek porucznik Dudziak nabrał przekonania, że dzisiejszy dzień będzie musiał spisać na straty.

Niezupełnie miał jednak rację. Od syna dozorca domu, sąsiadującego z willą Wojteckich w Bronowicach, dowiedział się trochę interesujących szczegółów.

Ów syn pracował przez pewien czas w warsztacie prowadzonym przez żonę Wojteckiego.

Na ten temat mówił porucznik, kiedy wraz z kapitanem i sierżantem wracali już do Zakopanego.

— Małżonka naszego znajomego ma do niego stosunek pogardliwy pod każdym względem. Kiedyś podobno była w swym mężu zakochana, nawet zazdrosna, potem Wojteckiemu zaczęło powodzić się gorzej, ona zaś, do spółki z jakimś Gorczyckim, otworzyła fabryczkę plastikowych wyrobów, osiągając duży sukces finansowy. Niektórzy podejrzewają Wojtecką o romans ze swym współnikiem, a także o chęć zalegalizowania ich stosunku w przyszłości. Podobno Wojtecki jest w panice, usiłuje wkraść się znów w łaski swej żony, boi się jej, tego, co ona robi, lęka się ruiny finansowej, utraty domu, zbudowanego w większości za jej pieniądze.

Kapitan odniósł się do informacji zebranych przez Dudziaka z dystansem.

— Byłoby to cennym materiałem — rzekł — gdyby to współnik Wojteckiej, Gorczycki, spadł ze skały do przepaści, nie zaś Anna Zemanek.

— Słusznie — przyznał porucznik. — Jeśliby wszakże Wojtecki miał ukryty romans z Zemanek i ta spodziewała się dziecka, to cała historia, w świetle domowych stosunków Wojteckiego, także nabrałaby rumieńców.

— Wojtecki był trzeciego sierpnia na Chochołowskiej — przypomniał kapitan.

Porucznik przytaknął.

— Wszystko to razem trudno połączyć z zabójstwem Wrzosa — dodał.

— Nie chciałem panom przerywać — zabrał głos sierżant — ale mnie już wyraźnie coś się zarysowuje.

— Właśnie, co pan zdołał, sierżancie?

— zagadnął porucznik.

— W „Fabloku”, gdzie, pracuje Wojtecki, sprawa przedstawia się następująco: cztery lata temu zmienił się tam dyrektor, którym kiedyś był przyjaciel Wojteckiego. Sytuacja tego ostatniego pogorszyła się radykalnie pod każdym wzglę-

dem, a szczególnie jego sytuacja finansowa. Na dachu budynku „Fabloku” ćwierkają wróble, że w dawnych czasach Wojtecki zarabiał spore sumy. Jako zaopatrzeniowiec mógł pobierać cichą prowizję, zawyżać, w porozumieniu z dostawcami, rachunki za zakupy. Jego przyjaciel, dyrektor, patrzył na to przez palce, a kto wie, może czerpał także korzyści. Potem zmieniło się kierownictwo, Wojteckiemu zaczęto patrzeć na ręce, stosunki z dyrekcją pogorszyły się, a nawet stały się napięte. Zajrzałem do akt personalnych Wojteckiego: jest tam nagana za lekceważący stosunek do pracy, kilka nieusprawiedliwionych nieobecności. Daty podkreślone czerwonym ołówkiem.

— Nie są to wielkie rewelacje, sierżancie — rzucił kapitan.

Sierżant uśmiechnął się skromnie.

— No... może, ale w tych aktach znalazłem także coś więcej.

Wyjął chustkę i zaczął wycierać nos. Robił to niezwykle dokładnie.

— Mianowicie? — ponaglił go porucznik.

Sierżant jeszcze przez pewien czas chował chustkę do kieszeni.

— Znalazłem także kartę urlopową Wojteckiego i notatkę, że wyjechał na wczasy do Szczawnicy, pensjonat „Orzeł”. Turnus trwał od. pierwszego do piętnastego lutego bieżącego roku.

— To bomba — rzekł porucznik. — Byłaby raczej — poprawił. — Zbieżność dat. Tylko miejscowość inna.

— Sprawdziłem telefonicznie w pensjonacie. Wojtecki spóźnił się o trzy dni.

Przyjechał dopiero trzeciego lutego.

— Z Krakowa do Szczawnicy i Krynicy prowadzi ta sama droga. Dopiero roz-widła się w Nowym Sączu — powiedział porucznik.

A więc jednak bomba.

W ciemnościach labiryntu zabłysło dzienne światło.

Czyżby miało okazać się złudzeniem?

— Już pracujesz? — kapitan zjawił się w komendzie kilka minut po ósmej. Porucznik siedział za swoim biurkiem, na któr-ym leżała mapa, nie licząc kartek z notatkami i sporej ilości długopisów.

— Od świtu — odparł. — Zrobiliśmy kawał roboty. W nocy wykonywano dla nas odbitki zdjęć Wojteckiego i Zemanek, o piątej wytypowaliśmy miejscowości na trasie Myślenice, Zarabie, Mszana Dolna, Limanowa i już przed szóstą pojechał sierżant, żeby rozwieźć zdjęcia na miejscowe posterunki milicji. Przed chwilą ustaliłem, jakim samochodem posługiwał się wtedy Wojtecki: niebieski Moskwicz numer rejestracyjny KW 7631. Informacje o tym sierżant otrzymał przez radiotelefon. Nie ma gwarancji, ale jest szansa, że hipoteza się sprawdzi.

— Co z nim? — zapytał kapitan.

— Na razie założyliśmy obserwację.

— Może to nie jest dobry trop, ale w każdym razie ruszyłeś. Trochę ci zazdroszczę, bo ja tymczasem stoję w miejscu.

— Nie zapominaj, że sprawy łączą się w jakiś sposób. Jeśli ja posunę się naprzód i ty też możesz się zbliżyć do celu

— pocieszał przyjaciela Dudziak.

— Załóżmy, że to on — zastanawiał się Szarecki. — Jak to by rzutowało na morderstwo Wrzosa? Na sprawę bransoletki?

— Wrzos mógł wtedy czekać na Wojteckiego.

— Ale po co?

— Tu mamy lukę. Załóżmy, że ten dał Wrzosowi bransoletkę Anny Zemanek.

Kapitan tarł w zamyśleniu podbródek.

— W jakim celu? Wrzos szantażował go? Nie stwierdziliśmy powiązań z czasów kombinacji finansowych zamordowanego.

— Więc mógł być inny powód. Wojtecki zamordował Annę Zemanek, a Wrzos się o tym dowiedział.

— Przy założeniu, że Wojtecki jest sprawcą, trzeba przyjąć, że nikt nie mógł znać jego planu. Również nikt nie mógł się dowiedzieć o wykonaniu. Wojtecki musiał być pewien, że nie ma świadka. Nawet przypadkowego.

— To prawda — przyznał porucznik.

— Gdyby nawet przyjąć, że zbrodnia miała przypadkowego świadka, nie mógł nim być Wrzos. Nie zajechał wózkiem pod Giewont.

Przez chwilę milczeli.

— Będziesz go przesłuchiwał? — zapytał kapitan.

— Nie zaraz. W ostateczności jutro dopiero wyjeżdża, jeszcze dzień przed na-mi. Teraz mam plan rekreacyjny — porucznik spojrzął na zegarek. — Idę na wycieczkę do Doliny Chochołowskiej.

— W godzinach urzędowania? Janek!

— zgromił kolegę kapitan.

— Myślę, że będziesz kumplem, Czesław, i nie rozgadasz naokoło...

Zaczął porządkować biurko.

Za moment siedział za kierownicą Fiata, jadąc do Kościeliska.

W Kirach, gdzie kapitan niedawno jadł kwaśnicę w prywatnej restauracji, porucznik Dudziak nie zatrzymał się. Widocznie spieszyło mu się, mimo zapewnień o wypoczynkowym charakterze

wycieczki. Minał Chochołów, skręcił szosą w las i wkrótce znalazł się koło ostatniego przystanku PKS-u. Przez sekundę zastanawiał się, czy zostawić samochód, czy dojechali na samo miejsce, do schroniska.

Wybrał pierwszy wariant. Dawno nie biegał i bardzo odczuwał potrzebę tego rodzaju suchej zaprawy. Nie była to wielka strata czasu, a wydawało mu się, że minuty nie grały decydującej roli.

Sprężyście odbijając stopy od ziemi, rytmicznie regulując oddech, pobiegł porucznik pod górę, do schroniska. Droga obok potoku, potem leśniczówka, wreszcie i^romo spadające ku ścieżce zielone stoki hali.

Przed kamiennymi schodami, koło szalaszów, porucznik zatrzymał się, żeby odpocząć i uspokoić bicie serca.

Kierownikiem schroniska był Żakowicz, poprzednio działacz Polskiego Związku Narciarskiego. Stąd znali się obaj od lat.

— Nareszcie widzę pana porucznika w górach — powiedział na powitanie. —

Zawsze zalecałem wycieczki. Dokąd to, może gdzieś dalej?

— Nie mam zbyt wiele czasu — rzekł porucznik. — Ale zawsze miło odwiedzić pana w taki słoneczny dzień.

Tamten wskazał na niebo.

— Nie podoba mi się ten wał chmur. Zbiera się na deszcz albo i burzę.

— Dlatego też nie zaryzykuję dalszej wędrówki.

Spojrzał na mapę Tatr wiszącą na ścianie.

— Gdyby tak, powiedzmy, przez Przełęcz Iwanicką, Dolinę Tomanową, Ciemniak, Krzesanicę, Małolączniak... Nie, to za daleko... Lepiej przez Dolinę Lejową, Miętusią, Przysłup Miętusi, Dolinę Małej Łąki do Kondratowej i stamtąd na Giewont. Ciekawe, ile godzin by mi to zabrało?

— No, chyba z siedem — obliczył kie- rownik.

Porucznik zamyślił się nad czymś.

— Może na Czerwony Wierch bym się wybrał kiedyś?

— Przyjemny spacer — zachęcał gospodarz schroniska. — Przez Wołowiec i Łopatę.

— Sierżant od nas rozmawiał już z panem — rzekł porucznik, wyjmując zdjęcie Wojteckiego. — Widział pan w schronisku tego człowieka?

— Tak — potwierdził tamten. — Sierżant o to pytał. Turysta wydawał mi się znajomy. Chyba go widziałem.

— Podobno był na samotnej wycieczce.

— Zdaje się, że widziałem go samego.

— Właśnie szedł na Czerwony Wierch. Przez Wołowiec i Łopatę, to było trzeciego sierpnia.

— Możliwe. Dokładnie tego nie mogłem zapamiętać.

— Sierżant sprawdzał, ale niech pan pozwoli jeszcze raz książkę wypraw.

Kierownik sięgnął do szafki, wyjął brulion w czarnej okładce i podał go porucznikowi.

Ten przełożył kilka kartek.

— Jest. Wpisane wyraźnie. Data: trzeci sierpnia.

Zamknął brulion.

— Chyba dzisiaj się jednak nie wybiorę w góry. Do widzenia, kierowniku!

— Cześć! — odparł kierownik.

Kiedy Dudziak był już przy drzwiach, zawołał:

— Chwileczkę, poruczniku! Co pan tam wyczytał w tym zeszycie?

— Ksawery Wojtecki odnotował swoje wyjście na wycieczkę w dniu trzeciego sierpnia,

Czerwony Wierch, godzina wyjścia dziewiąta piętnaście, powrót o siedemnastej dziesięć.

— Zaraz... zaraz... To niemożliwe!

— Co? Nie mógłby zdążyć?

— Nie to — wyjaśnił kierownik — tylko ten trzeci sierpnia. Tego dnia nie mógł nic wpisać, bo nie było książki.

— Jak to?

— Zwyczajnie. Klucze zginęły od szafki i znalazły się dopiero rano czwartego.

Parę osób chciało się wpisywać, draka nawet była, ale nie pozwoliłem wyważyć zamka. Rano klucz się znalazł i zaraz kilka osób wpisało swoje wyjścia. O, tu z góry, dwaj Czesi wpisali się na Bobro- wiec. Czwarty sierpień. Potem jacyś stu-denci. Też ta sama data. A ten, tu widzi pan porucznik, te kilka zdań wciśnięto na dole strony, pod zapisami z drugiego sierpnia... Wygląda na to, że zmieściły się z trudem, a w ostatnich słowach litery są na siłę zgęszczone, bo nie było już gdzie przenieść dalszego ciągu... Jasne, że wpisał to po trzecim sierpnia!

W powrotną stronę z Chochołowskiej porucznik biegł szybko, jakby mu wyrosły skrzydła.

Nie dlatego nawet, że lżej mu było z góry.

Czul się po prostu na finiszu.

Kapitan Szarecki w smętnym nastroju szedł Krupówkami.

Zatrzymał się przy kiosku z rurkami z kremem, zachwalanymi w czterech językach, i kupił jedną, żeby choć na chwilę pozbyć się gorzkich myśli.

Sprawa morderstwa Szymona Wrzosa uporczywie nie ruszała z miejsca.

Kapitanowi nie wystarczyła nadzieja, że posuną ją naprzód jakieś fakty, odkryte w związku z zabójstwem Anny Zemanek. Sam odczuwał potrzebę działania.

Koło stacji benzynowej stała, wsparta na statywie, ogromna, mosiężna luneta, skierowana na góry. Koło niej zauważył kapitan człowieka, którego twarz wydała mu się znajoma. Ależ tak! To był Piotr Siwek, świadek, który zeznawał w sprawie Wrzosa, jego sąsiad z ulicy Kasprusie. Już podczas przesłuchania kapitan odniósł

wrażenie, że gdzieś widział tę twarz, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie to miało miejsce. Teraz się wyjaśniło. Kapitan widział Siwka na Krupówkach, koło jego lunety.

— Dzień dobry, kapitanie — zagadnął tamten, zobaczywszy, że Szarecki mu się przygląda. — Może zechce pan spojrzeć na góry? Za darmo, oczywiście!

— Jak idzie interes? Dużo chętnych?

— Nie narzekam, nieraz wycieczka się zjawi, to i większy grosz można zgarnąć... Ale co ze sprawą tego biedaka? — posmutniał raptem. — Znaleźliście mordercę?

— Prowadzimy śledztwo — odparł kapitan.

— Pomyśleć tylko, że jeszcze parę dni temu był tu ze mną, przy tej lunecie...

— Przy lunecie? — ożywił się kapitan.

— Jak to?

— Akurat przechodził tędy, to znaczy

— poprawił się — przejeżdżał na swoim wózku, a ja zgłodniałem i chciałem wskoczyć do „Kolorowej” na obiad. Poprosiłem, żeby mi jej popilnował pół godzinki...

— Dlaczego mi pan tego nie powiedział?

A czy to ważne? Pan kapitan o to nie pytał...

— Kiedy to było?

— Ostatni raz, chyba... w zeszłą niedzielę, siódmego.

Co to znaczy „ostatni raz”? Czy jeszcze kiedyś był tu u pana?

A był — przypomniał sobie Piotr Siwek — jeszcze parę dni przedtem, tak się akurat złożyło...

— Kiedy przedtem?

— No, prosiłem go, żeby mi popilnował tej lunety... tak trzy dni wcześniej, nie, cztery dni, to było w środę, trzeciego sierpnia.

— O której godzinie?

— Około pierwszej, może po pierwszej...

Informacje wydały się kapitanowi bardzo zastanawiające.

— Czy mogę spojrzeć przez nią?

Oczywiście, proszę bardzo — zachęcał Siwek. — Jest nastawiona na krzyż na Giewoncie, ale niech pan kapitan uważa, bo tam śrubka się oblużowała i jak trącić, to zjeżdża niżej...

—
Niżej? — Przez mózg kapitana przebiegła myśl, kłująca jak światło lasera. —
Niżej, to znaczy może opuścić się na Żleb Kirkora? — spytał.
Oczy Szareckiego błyszczały, zmienił się tembr głosu.

—
Może i na Żleb Kirkora albo gdzie indziej — poświadczył właściciel telesko-pu, nie rozumiejąc podniecenia swego rozmówcy.

Kapitan obserwował tymczasem grupę ludzi obok krzyża. Nie widać było twarzy, ale dawały się odróżnić niektóre szczegóły garderoby: jedna z osób miała na sobie ciemne okrycie, jakby granatową koszulę, inna żółty sweter.

Wojtecki nosił szary sweter w pomarańczowe pasy.

Kapitan stał przez moment ze wzrokiem wbitym nieruchomo w przestrzeń.

—
Co się panu kapitanowi stało? — zaniepokoił się Piotr Siwek.

Kapitan nie odpowiedział i szybkim krokiem, biegnąc niemal, ruszył w kierunku komendy.

W pokoju porucznika Dudziaka siedział Ksawery Wojtecki. Jego opalenizna jakby poszarzała, rysy twarzy były stężałe, usta zacięte. Kapitan usiadł na krześle pod ścianą.

— Po drodze do Szczawnicy, wyjeżdżając z Krakowa swoim Moskwiczem, spostrzegł pan na ulicy młodą dziewczynę z walizką — mówił porucznik. —

Zaproponował pan podwiezienie, ona zgodziła się, okazało się, że jedzie na wczasy do Krynicy. To był ten sam kierunek, pan jechał do Szczawnicy, obiecał pan, że ją odwiezie. Potem samochód zaczął się psuć, trzeba było się zatrzymać — porucznik wyciągnął w kierunku Wojteckiego jakąś kartkę — oto meldunek, namówił ją pan do chwilowego zatrzymania się u jednego z gospodarzy pod Limanową. Tam spędziliście trzy dni. Potem rozstaliście się. Jej i panu zależało na zachowaniu dyskrecji. Po powrocie z wczasów spotkaliście się jeszcze kilka razy w największej konspiracji. Ale sprawa przybrała dla pana zły obrót. Ona zaszła w ciążę i nie chciała pozbyć się dziecka. Pan jej przedtem wiele obiecywał, mówił pań o rozwodzie. Dziewczyna teraz to przypominała. Wpadł pan w panikę. Gdyby wiadomość o fakcie dotarła do pańskiej małżonki, byłby to koniec małżeństwa i marzeń o dobrobycie. Tego przynajmniej bał się pan bardzo. Załatwia pan sobie skierowanie na wczasy do Zakopanego, jej proponuje to samo. W „Krokusie” porozumiewa się pan z dziewczyną w krótkich momentach, kiedy nikt nie słyszy ani nie patrzy, w wielkiej tajemnicy. Konieczność takiej konspiracji motywuje pan obawą przed złym dla pana rozwojem wszczętej rzekomo właśnie sprawy rozwodowej. Tymczasem zamiary pana są inne. Dla uspienia czujności swej ofiary, daje jej pan złotą bransoletkę, potem jednak szybko odbiera podarunek pod pretekstem, że chce pan coś na niej wygrawerować. Bransoletka nie może zostać znaleziona ani przy niej, ani w jej rzeczach. Umawia się pan z dziewczyną pod Giewontem. Idziecie tam osobno. Po spotkaniu namawia ją pan na wspólne zejście północnym stokiem góry, przez Żleb Kirkora. Ona nie orientuje się w terenie, nie zna drogi. W dogodnym momencie sprowadza ją pan na występ skalny, wysunięty nad przepaścią, i silnym popchnięciem z tyłu zrzuca pan dziewczynę ze skały. Pan jest mordercą Anny Zemanek.

— Nie.— zawołał Wojtecki. — Nie! To nieprawda! Nie zepchnąłem jej, nie zamordowałem, nie byłem z nią w żadnym Żlebie Kirkora!

— Następnego dnia, jeszcze zanim odkryto zwłoki pana ofiary — ciągnął porucznik — udaje się

pan do schroniska w Dolinie Chochołowskiej i do zeszytu, gdzie notuje się wyjścia w góry, wpisuje pan swoją wyprawę na Czerwony Wierch.

Tylko nie ma miejsca na taki wpis, bo po wycieczkach z dnia drugiego sierpnia są już wpisane wyprawy z czwartego. Swój zapis, rzekomo z trzeciego, wciska pan na dole strony, gdzie widnieją tamte, z drugiego sierpnia. Nie wie pan tylko, że trzeciego sierpnia czarny brulion leżał zamknięty w szafce, do której zaginął klucz i że zeszyt nie był dla nikogo dostępny. Trudno, podejmując ryzyko przestępstwa, trzeba liczyć się z pechem, z okolicznościami nieprzewidzianymi.

Na twarzy Wojteckiego malował się upór i wściekłość, zmieszana z lękiem.

— Nie! Nieprawda! Byłem tam trzeciego i zeszyt nie był nigdzie schowany!

Nie zabiłem Anny Zemanek!

— Zabił pan — spokojnym głosem wtrącił kapitan Szarecki. — Nie tylko ją zresztą.

Wojtecki spojrział na kapitana ponuro.

— Dwa dni po tym, jak zepchnął pan ze skały dziewczynę, zjawił się u pana Szymon Wrzos, kaleka na inwalidzkim wózku. Dał panu do zrozumienia, że wie, co się stało w Żlebie Kirkora, zna osobę mordercy. Skąd tajemnicę sceny, która rozegrała się w górach, mógł znać człowiek z trudem posuwający się na wózku? Ta zagadka budziła grozę i nakazywała

sądzić, że jest jeszcze ktoś trzeci, ukryty wówczas wśród skał, świadek zbrodni.

We wzroku Wojteckiego widać było wyraźnie coraz większy strach.

— Na tym opierał Wrzos swoje własne bezpieczeństwo, kiedy wystąpił z żądaniem okupu za milczenie. Na razie dał mu pan pięć tysięcy, on żądał znacznie więcej. Dołożył pan bransoletkę, szantażyście wszystko to było mało. Poczul się pan osaczony. Ale wkrótce sytuacja uległa zmianie. Wracając z miasta do „Krokusa” w niedzielę siódmego sierpnia zobaczył pan z daleka Wrzosa, stojącego przy lunecie na rogu Krupówek i 15 Grudnia. Skojarzył pan sobie fakty i domyślił się wszystkiego. Wrzos mógł teraz i musiał umrzeć.

Ostupiałe spojrzenie Wojteckiego wyrażało przeczucie klęski.

Porucznik z trudem maskował zdumienie.

— Domyślił się pan, że Wrzos przypadkiem zobaczył przez lunetę, jak dokonał pan zabójstwa Zemanek. Potem pozostawało mu tylko dowiedzieć się, gdzie mieszkała zabita w górach dziewczyna. Jeszcze nie planował niczego konkretnego. Ale kiedy okazało się, że dziewczyna mieszkała w „Krokusie”, Wrzos, na wszelki wypadek, zaczął skrycie obserwować pensjonat. Wtedy spostrzegł mężczyznę w szaro-pomarańczowym swetrze, jaki wówczas widział

przez lunetę. W jego głowie zrodził się plan zrobienia pieniędzy przy nie-codziennej okazji. Liczył, że niczym nie ryzykuje. Strzeli i najwyżej nie trafi. Ale trafił w dziesiątkę.

Wojtecki mamrotał coś niezrozumiale.

— Trudno, koniec... — rzekł wreszcie, ukrywając twarz w dłoniach.

Wszedł sierżant.

— To jeszcze znaleźliśmy w jego rzeczach — powiedział, rzucając na stół nowe skórzane rękawiczki z otworami na zewnętrznej stronie dłoni.

— Przecież nie ma pan samochodu? — spytał porucznik. — Po co -pan kupował rękawiczki?

Jedyną odpowiedzią było grobowe milczenie.

— Wieczorem, ósmego sierpnia zabrał

pan te rękawiczki idąc do Wrzosa — rzeczowo informował kapitan. — Miał mu pan zakomunikować datę doręczenia następnej sumy.

— Przedtem jeszcze — wtrącił porucznik — zaprosił pan na wódkę swego to-warzysza z pokoju, Piątka. Upił ,go pan, sam markując picie'. Po powrocie od Wrzosa budził pan Piątka, proponował następne kieliszki, jakby to był dalszy ciąg zabawy.

— Wrzos nalał wódki w kieliszki — opowiadał z kolei kapitan. — Wypił swój, pan tymczasem pod jakimś pretekstem odszedł do okna, on odstawił pusty kieliszek i w tym momencie dostał w głowę kamieniem. Raz, drugi. Przekonał się pan, że ciosy były śmiertelne. Gorączkowo zaczął pan szukać bransoletki, najpierw przy świetle padającym od ulicznej latarki, potem skorzystał pan ze znalezionej w szufladzie latarki, oczywiście nie zapominając o nałożeniu rękawiczek. Nie znalazł pan niczego. Nie można było przeciągać poszukiwań.

Opuścił pan dom ofiary i udał się na przystanek PKS, kryjąc się w ciemności.

Autobusem wystarczyło odjechać kilkaset metrów, żeby urwał się ślad. Potem wrócił pan do pensjonatu na skróty, przez pola, pod Regłami.

— Tak, tak było — powiedział Wojtecki drewnianym głosem. — Czuję się bardzo zmęczony.

Porucznik nacisnął przycisk dzwonka.

— Wyprowadzić aresztowanego — rozkazał porucznik milicjantowi, który zjawił się w drzwiach.

— A więc możemy sobie pogratulować

— odezwał się sierżant.

— Jak wpadłeś na pomysł z lunetą? — spytał porucznik. Bardzo go to dotychczas dręczyło.

— Rozmawiałem z jej właścicielem — wyjaśnił kapitan. — Powiedział mi, że Wrzos pilnował ją trzeciego przed obiadem, oraz że obluźowała się śrubka, wskutek czego skierowana w stronę krzyża na Giewoncie luneta zsuwa się w dół. Na Żleb Kirkora.

— Tak, stary był chytry na pieniądze, ostatnie lata miał chude, stracone, chciał się odkuć, wykorzystując przypadek. Miał

podstawy udawać, że jest wysłannikiem kogoś trzeciego, gwarantowało mu to bezpieczeństwo. Dość sprytnie pomyślane — przyznał porucznik.

— Następny jednak przypadek — zauważył kapitan — fakt, że Wojtecki przechodził akurat w pobliżu i zobaczył go przy lunecie, oznaczał dla Szymona Wrzosa wyrok śmierci.

— Ogromne ilości przypadków — powiedział sierżant.

— Z nich składa się życie — rzucił porucznik sentencjonalnie.

— Święta racja...

Sierżant pokiwał głową ze zrozumieniem dla niecodziennych kolei ludzkiego losu. Za chwilę jednak wrócił do faktów.

— Skąd i po co miał ze sobą Wojtecki bransoletkę?

— Założę się — powiedział porucznik

— że kupił ją żonie, dla ratowania u niej swojej zagrożonej pozycji. Zabrał

bransoletkę do Zakopanego, żeby posłużyć się nią do uspienia czujności przyszłej ofiary, oczywiście z zamiarem odzyskania drogiego przedmiotu. Liczył także potem, że odbierze go po zlikwidowaniu Wrzosa, bądź co bądź bransoletka stanowiła jakiś ślad, choć niezbyt dla Wojteckiego niebezpieczny. Nikt u niego jej nie widział, w handlu powtarzały się takie same, nabywcy biżuterii u „Jubilera” nie są legitymowani.

Kapitan zastanawiał się nad dziewczyną:

— Ona niczego nie podejrzewała. Poprzednio tak dokładnie odseparowana od kontaktów z mężczyznami, zamknięta w sobie, tym silniej przeżywała romans z Wojteckim. Dlatego bał się, że nic tu nie da się obrócić w żarty.

— Koniec. Jadę na urlop. Jeszcze tylko dwa tygodnie.

— Dokąd jedziesz? — spytał kapitan.

— We wrześniu najprzyjemniej nad polskim morzem.

— Dziwne. W powieściach kryminalnych zawsze inspektor wybiera się na urlop i wtedy wyskakuje sprawa, która mu w tym przeszkadza. A tu odwrotnie, pojedzie pan porucznik na urlop po zakończeniu sprawy — stwierdził sierżant.

— Przecież jeszcze może wyskoczyć następna — rzekł porucznik, nie spostrzegając, że daje się wciągnąć w spekulacje sierżanta na temat sensacyjnej literatury.

— Ja mam urlop dopiero w zimie — rzekł Szarecki. — Przyjadę do Zakopanego na narty.

— W powieściach kryminalnych — snuł rozważania sierżant — prowadzący śledztwo poznaje zawsze jakąś dziewczynę, najczęściej świadka, i w perspektywie zarysowuje się wątek miłosny. A pan porucznik?

Porucznik Jan Dudziak wpadł w zadumę. Może to i był pomysł?

Na Jadwigę Wiśniak zwrócił już dawno uwagę...

KONIEC